

Wszem w obec, i ka-
żdemu z osobna, wiadomo
czynimy, że pismo nasze
pod nazwaniem Pszon-
ki znajome, nadal wycho-
dzić będzie. Cena sześciu
półarkuszy, a to jest naj-
mniej na co zapisać się
można, wynosi we Fran-
cyi: dwa franki i pół, i z
góry się zalicza; za grani-
cą zaś: od każdego półar-
kusza zoty polski jeden.
Zapisywać się i składać
opłatę można u nas; u wy-
dawcy *Demokraty Pol-
skiego*; u sekretarzów To-



wa. dem. polskiego, oraz
w Paryżu: w Czytelnii pol-
skiej, przy ulicy *Marais*
S^t. Germain n° 12; w księ-
garni polskiej przy tejże
ulicy, n° 17; u ob. Jokisza
przy ulicy *S^t. Marguerite*
S^t. Germain, n° 25, i u
wszystkich i każdego w
szczególności, komu za-
ufać można, że groz na
ten cel powierzony sobie,
do naszego skarbku odeszle.
— Adres nasz: *Mr Pszonka*
Polonais, rue des vœux,
n° 23, *Strasbourg (Bas-*
Rhin). Pisać franco.

PSZONKA.

KOMEDYA PRZED I PO KOMEDYI.

WE DWÓCH CZĘŚCIACH.

CZĘŚĆ I.

KOMEDYA PRZED KOMEDYĄ.

(Scena przedstawia boudoir przybrany w najświetniejszym
guście. Dwa okna zasłonięte firankami ledwie przepuszczają
światło poranku, choć już wybiła dwónasta. Między oknami
toaleta kobieta; na niej stoiki, flaszeczki i kilka książek pie-
knie oprawnych; ostatni romans Balzaka i wódka kolońska;
numer Trzeciego-Maja, mydła i pomady; feuilleton Janina,
róż i bieliłdło. Księżna kończy poranną toaletę i ziewa).

KSIEŻNA. Oh! mon dieu! jakie nudy! Nic mnie niebawi.
C'est étonnant!... Od czasu jak zostałam królową jesz-
cze więcej się nudzę. Ktoby myślał, że królowe nudzić
się mogą?... Jam sądziła że królowe są zawsze piękne,
dowcipne, zawsze uwielbiane, kochane; że życie ich
jest wiecznym romanssem (spogląda w zwierciadło)... C'est
guères la peine siegać po koronę, kiedy głowa przy-
odziana koroną (kładzie czepek na głowę) niejest pię-
kniejsza od głowy d'une simple grisette... Une grisette...
Zeszłego lata na balu w chaumière widziałam grzyzety...
eh bien, skakały, tańczyły, bawiły się lepiej niż ja
w moim pałacu... i każda miała swojego kochanka...
(wzdycha). Ces femmes ludu są bien impertinentes de se
permettre d'être plus jolies que nous, d'être mieux
aimées que nous, i bawić się lepiej niż my królowe.
(Po chwili milczenia) Królowa... królowa polska... wiel-
ka księżna ziem litewskich i ruskich... c'est pourtant
piękny tytuł (zamyśla się). Czy ja tylko jestem dopra-
wy królową?... Pan Albert ciągle mi to powtarza; ani
jeden z dworzan niezdaje się wątpić o tém; ale czy mo-
żna wierzyć dworzanom?... W kilka dni potem, kiedy
pan Srokonicz obrał królem mojego dostojnego mał-
żonka... i wtenczas, tak, i wtenczas niestety! nudziłam
się śmiertelnie... Eh bien, pomyśl sobie: królowa w
nudach, c'est impossible. Dziś wieczór u hrabiny N....
będzie nawet ta księżna Jeven, ta wielka dyplomatką,

ta... boże odpuść, co se fait un plaisir we wszystki-
mnie przesadzić... Otoż uwienię skronie moim kró-
lewskim dyademem... pojadę, ponież, zawstydzę. Przy-
jeżdżam, wchodzę. Lokaj anonsuje: Madame la prin-
cesse... imbecille!... nieczytał Srokonicza, niewi-
żem królowa... au fait, nieumie po polsku, szczęśliwy czło-
wiek!!!... Wchodzę do salonu... Hrabina wita z presa-
dzoną kordyalnością: «bonjour ma princesse»... rien
que princesse... i wargi przygryza... A księżna Jeven, que
je me faisais d'avance un plaisir d'abaisser, d'écraser,
w gronie kilku dam i dandys paryżskich i moskiewskich
śmieje się na całe gardło. Czy nie ze mnie przypadkiem.
Zbliżam się i witam poważnie, ale poufale, jak na kró-
lowę przystało; pytam o przyczynę wesołości!... «Oh!
mon dieu!... un rien, une bagatelle... vous nous pren-
drez pour de folles ma chère princesse!... (toujours
princesse!...) nous rêvenons du théâtre français, on a
joué les *Prétentions ridicules*; vous savez?... Imperti-
nente!... Humiliée, vexée au dernier point usiadłam w
kacie między panią Brzuchalską i Skromnicką. Pauvres
femmes!... widziały moje poniżenie... starały się mnie
pocieszyć jak mogły... Eh bien, elles m'assommaient
avec leurs—Najjaśniejsza Pani!... A kto wie?... może i
one drwiły sobie ze mnie. (Wchodzi pan Albert).

P. ALBERT. Najjaśniejsza pani pozwoli...

KSIEŻNA (na stronie). Czy i on drwi ze mnie (spogląda na
niego z ukosa).

P. ALBERT (kończąc) słudze swojemu złożyć hołd winny.

KSIEŻNA (na stronie). Nie, on niedrwi, il est sérieux, trop
sérieux meme depuis quelque temps... (głośno) Laissez
donc Monsieur Albert... niejestem disposée pour une
visite de ceremonie... nudzę się śmiertelnie...

P. ALBERT (ziewając). A któż w tych czasach nienudzi się
najjaśniejsza pani?...

KSIEŻNA. Oh! que vous êtes... bon... Tout le monde się nu-
dzi, jak gdyby to rozpędzalo moje nudy.

P. ALBERT. Parole d'honneur! rzecz niepojęta. Kiedy najja-
śniejsza pani stanęłaś na najwyższym szczeblu godno-
ści i chwały; kiedy skronie swoje (jąkając się) u... u...
uwien... uwienczyłaś koroną Jagiellonów; kiedy świat

cały ci zazdrości, ty! najjaśniejsza pani, nudzisz się.. c'est étonnant!...

KSIĘŻNA. Hem, hem... chwała... korona... królowa bez królestwa...

P. ALBERT. A któryż król ma dzisiaj królestwo, najjaśniejsza pani... c'est la mode aujourd'hui.

KSIĘŻNA. To prawda!... Henryk... Don Miguel... Don Karlos... Ale cóż stąd?... (zniżając głos) W salonach paryżskich śmieją się z mego królestwa... ja sama... powiem prawdę... wątpię czasem czy jestem królową...

P. ALBERT (z zadziwieniem i zapalem). Est ce possible?... co słyszałem?... Jako? najjaśniejsza pani?... Ociemiński, Gapiszewski, Tetera, codzień o tēm piszą... i najjaśniejsza pani wątpisz? Przecież to wielcy publicyści, wielcy pisarze... (na stronie) gryzmoły!

KSIĘŻNA. Tak, tak... piszą, bo żyją z mojego królestwa.

P. ALBERT. Jako? A p. Srokonicz nienapisałże całej książki?... czyż niedowiódł że najjaśniejszy małżonek najjaśniejszej pani jest w prostej linii potomkiem Jagiellonów?... Przecież to mądry człowiek p. Srokonicz..... (na stronie) cybuch!...

KSIĘŻNA. Tak, tak... A drugi Srokonicz się znalazł, co tego, bogu duszę winien, królem ogłosił... A ten przekłety Lelewel powiada, że książę Sukin pewniejszy Jagiellonów potomek od mojego małżonka.....

P. ALBERT. Czegoż niewynajdzie zawisać, ta jedza piekielna!...

KSIĘŻNA. Motłoch emigracyjny wrzeszczy...

P. ALBERT. Motłoch... demokraci... ne faites pas attention, najjaśniejsza pani... jak wrócimy do Polski (poprawia kołnierzyk), on mettra ces gens à la raison.

KSIĘŻNA. Ale faubourg St Germain zanosí się od śmiechu. Ten śmiech rozdziera mi serce.

P. ALBERT. C'est plus serieux... c'est vexant, il est vrai... (po chwili namysłu) Jak wrócimy do Polski...

KSIĘŻNA. Oh! vous m'assommez avec votre Polska... Nie jak wrócimy do Polski, ale dzisiaj, ale natychmiast chciałabym zawstydić, poniżyć te wielkie panie paryżkie... chciałabym gdzie, tak, w wielkim tłumie ludu, otoczona moim dworem, z królewskim dyademem na skroniach... w obec tych pań odbierać pokłony... chciałabym widzieć, poić się rozkoszą ich bezsilnej zazdrości...

P. ALBERT (w zachwyceniu). O jaka rozkosz, jaki tryumf dla najjaśniejszej pani! Jaka scena wyborna! Najjaśniejsza pani w dyademie, ja przy gwiazdce S^o Stanisława..... do koła nas dworzanie, a w głębi obrazu, cały Faubourg St Germain w pokornej postawie, na kolanach, poniżony, zawstydzony, pękający ze złości... Biegnę, leć... każę malować... dam na wystawę...

KSIĘŻNA. Tryumf na papierze, na płutnie... to niedosyć...

P. ALBERT. Eh bien... (myśli) Hem... (na stronie) Co tu znaleźć u licha... (głośno) Otworzymy bazar na korzyść nieszczęśliwych Polaków, (na stronie) co noszą żółte rekawiczki, lub wracają za amnestią do Polski.

KSIĘŻNA. C'est trop usé... et puis... królowa... w dyademie... za komtoarem... pour le coup, le faubourg St Germain rirait à gorge déployée.

P. ALBERT. To prawda, kupcowa w dyademie a garçon épicer przy gwiazdce S^o Stanisława; pas possible... Dans ce cas... (po długim i głębokim namysłu) Oh! quelle idée!...

KSIĘŻNA. Est-ce possible?... vous avez une idée?...

P. ALBERT (z radością uszczęśliwionego wielkiem odkryciem). Widowisko!... Reprezentacja... Teatr... zbierzemy amatorów... dyadem i gwiazda w łóży, a gdyby jeszcze najjaśniejsza pani wystąpiła na scenę z królewskim dyademem, ja z gwiazdą S^o Stanisława...

KSIĘŻNA (w zachwyceniu). Oh! quelle idée!... quelle excellente, quelle magnifique, quelle royale idée!... mdleję... umieram z rozkoszy, z tryumfu... (pada na kanapę).

PAN ALBERT poruszył wszystkie sprężyny, żeby swój pomysł przywieść do skutku. Amatorów niebrakło co chcieli popisać się na publicznej scenie; niebrakło i gapiów co klaskali i wytrzeszczali oczy na królewski dyadem i gwiazdę S^o Stanisława.

slawa. Faubourg St Germain zanosí się od śmiechu, a eleganci moskiewscy sypali złoto garściami. Francuzi utrzymują że komedia całą swoją pomyślność winna staraniom księżnej Jeven i Moskalom bawiącym w Paryżu, którzy z radością pochwycili sposobność, żeby na wzgardę emigracyi rzucić jęć jałmużnę.

CZĘŚĆ II.

KOMEDIA PO KOMEDYI.

(Sceny prawdziwe.)

SCENA I.

(Gabinet pana Alberta, biórko otwarte, w niem kilka książek podartych, bilety miłosne i wielka wstęga z gwiazdą S^o Stanisława. Przed biurkiem krzesło z poręczami, obszerne, wygodne, a na niem p. Albert w szlafroku i pantoflach, pali fajkę na długim cybuchu z ogromnym bursztynem.)

P. ALBERT. Prześlicznie, przewybornie!... cudownie!... udało się nad wszelkie spodziewanie... 30,000 de recette!... Jak wszystko concourt admirablement do celu zamierzonego par un homme d'esprit (wskazuje na siebie i puszcza ogromny kłab dymu). Zemsta najjaśniejszej pani... la malice księżnej Jeven... próżność pięknych aktorek modnego foburga... eh bien! tout cela aboutit... à une bonne recette, z której pan Albert, kawaler orderu S^o Stanisława, homme de beaucoup d'esprit et de savoir faire (puszcza wielki kłab dymu) dostanie część niemałą. A zemsta najjaśniejszej pani... cha! cha! cha! le noble foubourg a jeté niezmierny éclat de rire... pokazał swoje aktorki gapiom, et surtout, dobrze zapłacił tę niewinną rozrywkę... A Moska!... quel luxe! voilà de gens qui savent bien vivre, et surtout bien payer... Złoto leciało jak grad... et on a le toupet de dire, że to naród niedzwiedzi. A najjaśniejsza pani, ma foi, najjaśniejsza pani błyszczała w dyademie obok mojej gwiazdy S^o Stanisława. Jeżeli to niedosyć... elle est bien difficile! (wchodzi lokaj w liberyi.)

LOKAJ. Une lettre pour Monsieur (podaje list.)

P. ALBERT (bierze list i otwiera). List od księżnej... i mandat do kasy towarzystwa (wyjmuje mandat, list nieczytając go wcale rzuca na biórko.) C'est bien (wyjmuje pięć franków z szuflady i ciska lokajowi pod nogi) c'est pour toi... il n'y a pas de reponse (lokaj wychodzi).

P. ALBERT (oglądając mandat). Pięć tysięcy franków.... C'est beau, c'est magnifique... Kasztelan bierze tylko sześćset miesięcznie (zapala fajkę listem od najjaśniejszej pani). Ah ça! à propos: Pan Utratnicki zgrał się do szeląga, trzeba i dla niego coś dostać z kasy towarzystwa. Un enfant de bonne famille, herbu Doliwa... et puis, dobry, uczynny... pożyczął mi pieniędzy... et galant homme, nigdy się nieupomniał;—c'est une dette de reconnaissance. Il faut bien payer ces dettes... z kasy towarzystwa... Voyons (zabiera się do pisania).

LOKAJ (uchylając drzwi). Monsieur Wąsalski demande a vous parler, Monsieur.

P. ALBERT. Monsieur Wąsalski?... connais pas... faites entrer.
LOKAJ (wpuszczając Wąsalskiego). Courage mon brave; Monsieur est de bon humeur.

WĄSALSKI (wysoki, mina żołnierska, wąs ogromny, kapota mocno wytarta ale czysta, zapięta pod szyję. Z twarzy i ruchu widać że zmęczony albo cierpiący; wchodzi nieśmiało i staje wyprężony). Jaśnie Panie...

P. ALBERT (pod nosem). To żebrak jakiś, włóczęga... (głośno) no i cóż dalej?

WĄSALSKI. Jaśnie panie (znovu ucina, widać brak mu wyrazów. P. Albert puszcza kłab dymu i robi znak niecierpliwości). Jaśnie panie!... niejadłem trzy dni; jestem głodny, zmęczony... Jaśnie pan nieodmówi kawalka chleba staremu żołnierzowi...

P. ALBERT (oglądając żołnierza od stóp do głowy). Niejadł trzy dni... a chwieje się na nogach... kawalek chleba!... czy u mnie oberza?

WĄSALSKI. Jasnie pan wybacz... ja chwieję się na nogach... to z głodu... pan masz wpływ....

P. ALBERT (poprawiając się na krześle). Masz wpływ?... mów dalej... skąd jesteś?... kto cię rodzi?

WĄSALSKI. Rodzi mnie matka moja Wąsalska, z domu Poczciwska. Jestem żołnierz z 2^o Ułanów. Dwadzieścia lat służby, nie licząc emigracyi. Biłem się w Algierze i w Hiszpanii. Przyszedłem do Paryża za robotą... nikogo nieznam.... trzy dni błąkam się po ulicach.... i trzy dni niejadłem... Księżna Pani podobno ma pieniądze dla ubogich Polaków...

P. ALBERT (na stronie). He, natręt... jak się go pozbyć... Dam mu trzy susy i odeszł do demokratów, tam kassa dla ubogich w dziurawych butach...

WĄSALSKI. Jasnie pan nie odmówi protekcyi. Jasnie pan ma podobno łaski u księżnej pani.

P. ALBERT (z pomieszaniam i gniewem). Ma wpływ, łaski u księżnej?... Co ty przez to rozumiesz: ma wpływ, ma łaski u księżnej?...

WĄSALSKI. Jasnie pan ma przystęp do księżnej pani...

P. ALBERT. Ma przystęp do księżnej pani!.... (Na stronie) Masz tobie, ten szelma Byk wszędzie rozgadał; wdaj się tu z żydem faktorem.... (głośno do Wąsalskiego) Ty gadasz od rzeczy, ty jakubin, pijany!

WĄSALSKI. Pijany? Ja pijany? Dwadzieścia lat służyłem ojczyźnie, pierwszy raz przyszło prosić o wsparcie, i pierwszy raz taka spotkała mnie obelga... i od rodaka jeszcze... Schowaj pan swoje wpływy i swoją pomoc; wolę z głodu umrzeć, aniżeli od pana co przyjąć (zabiera się do wyjścia).

P. ALBERT (zrywa się z krzesła i popycha za drzwi żołnierza). Impertinent! pijak! włóczęga! jakubin! (żołnierz już w przedpokoju zatrzymuje się i obraca z groźną postawą. Pan Albert zamyka drzwi z pospiechem). Pijak!.. no proszę... w jednej chwili pięć razy zbladł i zecerwieśniał, a powiada że trzy dni niejadł (siada i po chwili milczenia)... Quelle impertinence, jakie nieuszanowanie! czysty jakubin!.... il m'a tout bousculé (spogląda na zegarek). Czas iść do Café Anglais... mais à propos.... skończmy list dla p. Utratnickiego herbu Doliwa; il ne faut pas, żeby ten jakubin wybił mi z głowy un homme comme il faut.

SCENA II.

(tłumaczenie z francuzkiego.)

(Mieszkanie bankiera przy ulicy des Jeneurs w Paryżu, bankier pisze, służący wchodzi).

SŁUŻĄCY. Pan... pan.... Ski, oficer polski.

BANKIER. Prosić. (Wchodzi Polak niewymyślnie ale porządnie ubrany).

SŁUŻĄCY (wychodząc, na stronie). Czego on chce ten Polak?... wczoraj dla nich zebrano w teatrze 30,000.

BANKIER (wskazując krzesło). Czemuz winien jestem wizyte pańską?

POLAK (siada, wyjmuje papier i podaje bankierowi). Jeden z moich przyjaciół z prowincyi prosił mnie, żebym panu doręczył ten list rekomendacyjny. (Bankier bierze list, otwiera, spogląda na podpis, wyjmuje pięć franków z kieszeni i z listem podaje Polakowi. Polak niewyciąga ręki, chce powstać i wstrzymuje się). Ale panie....

BANKIER (na stronie). Ten pan widzę małej jałmużny niebierze (głośno). Pan wybaczysz że więcej udzielić niemogę.

POLAK. Ależ pozwól pan...

BANKIER. (przerywając nagle). Ależ panie, ja posyłam regularnie składkę do Towarzystwa Dam Polskich (wyciąga rękę z listem i pięciu frankami). Zdaje mi się...

POLAK. Pan dajesz mi jałmużnę...

BANKIER. Zbyt małą prawdą. Ja kocham naród polski, i wierzę mi pan, robię co mogę; i wczoraj byłem na reprezentacji daną na korzyść Polaków. Bez wątpienia, nie dla widowiska (znowu wyciąga rękę z listem i pięniędzmi).

POLAK. Ale panie, proszę wysłuchać...

BANKIER. Może datek nieodpowiada pańskiej godności...

POLAK (znieczcierpliwiony). Ale pan mylisz się względem celu mojej wizyty, ja nieprzychodzę żebrać. Niech pan raczy przeczytać list, który panu wręczyłem.

BANKIER (mocno zmieszany, otwiera list i przeczytawszy). Pan mi wybacz, ja sądziłem, mniemałem...

POLAK. Aż nadto dobrze pojmuje powody, które pana skłoniły ofiarować mi jałmużnę. Tak jest, nieszczęściem, są Polacy niedbali o honor własny, o honor narodu, co w oczach cudzoziemców wystawili nas jako bandę żebraków, żeby mieć sposobność błyszczenia i sławę dobroczyńców. Pan masz próbę tego z wczorajszego widowiska.

BANKIER. Być może... tak... sam uważałem... jedna dama... Polka niestety... na to widowisko, dane na korzyść biednych Polaków, przybyła z brylantowym dyademem. Tęm jednem cackiem kobićcem, jestem pewny, można by po cichu, bez wystawy, wiele łez osuszyć.

POLAK. Niewiem kto jest ta dama, ta Polka, i wiedzieć nie chcę. Co do tej przykrzej materyi, na którą tak niespodzianie padła nasza rozmowa, winienem panu całą prawdę powiedzieć. Niech pan niesądzi emigracyi z jej mniemanych opiekunów, co żebrzą żeby opłacać zbytki utratnych paniczów, dostojnych żebraków. Emigracya jest uboga... ale w ubóstwie swojem, wie co winna sobie, co winna honorowi narodu; niespodli się żebractwem; owszem, sama utrzymuje swoich chorych, kaleków, i starców; dla siebie prosi tylko o pracę, o sposobność godziwego zarobku, jak tego masz pan przykład w tym liście.

BANKIER. Masz pan słuszność; praca, jestto najlepsza jałmużna, równie zaszczytna dla tego co ją daje, jak dla tego co ją odbiera. Przyjaciół pański, jeżeli tylko można, otrzyma miejsce, o które się stara. Jestem panu mocno obowiązany, żeś mnie wywiódł z błędu, żeś mi dał poznać, że emigracya polska jest godna sympatyj i szacunku Francuzów.

ŚWIĘTO WIELKANOCNE

W PARYŻU, PRZY ULICY TRAVERSIERE S. HONORÉ, 23,

PO STAROSZLACHECKU UCZCZONE.

Niemamy kraszanek, tłuczmy się łbami.

« Chwała ci Boże! ogień dziewięcioletniej niewoli niedarmo « czyści emigracyjne złoto. Rozpamiętywanie przeszłości wylo- « żyło jak na dłoni główne przyczyny naszych nieszczęść, dało « uczuć konieczność naprawy w naszej budowie umysłowej i « materyalnej. Poznaliśmy egoizm w całej jego obrzydliwości, « pod wszystkimi jego postaciami, wyganiamy go z najszy- « tszych komórek serc naszych. Stępiała w nas drażliwość na « drobne urazy zadrażnionych osobistości, dotkniętego punktho- « noru; znikła skłonność do wysokiego o własnej wielkości ro- « zumienia, do kłótni, do niezgody; bo przekonaliśmy się że « ten robak roztaczał wiecznie podwaliny polskiego społeczeń- « stwa, nie dał się nigdy ostać jego budowie. Nasze uczucie « braterstwa coraz przestronniejsze, ogień miłości narodowej « coraz czystszy, zgoda coraz stałsza; święty, wielki cel wspól- « ny, coraz silniej pochłania drobne poboczne dążenia; krótko « mówiąc, stajemy się coraz godniejsi naszego powołania. Kie- « dyż stosownie, jak nie w tej chwili, możemy się chlubić tą prze- « mianą. Oto wielkanoc! święto pojednania! przed oczami na- « szemi baranek męki z chorągiewką zmartwychwstania, godło « poświęcenia, miłości, braterstwa, wiary, nadziei, godło nas, « naszych losów obecnych i przyszłych. Jeżeli kiedy, to w tej « chwili, na ten widok, zlejmy nasze serca w jeden płomień « miłości, bądźmy choć na chwilę takimi, jakimi powinniśmy « być zawsze.» Tak mniej więcej przemawia wzruszonym gło- « sem kapłan błogosławiący święcone; serca słuchaczów otwarte, « oczy zachodzą łzami, dłonie klaszczą brawo.—To nie baranek, « to podobniejsze do pudła, wyrzekł ktoś półgłosem.... Sasiad

pojrzał z ukosa: —Czegóż tak patrzysz na mnie? —Bo słuchać niewarto. —Jako? to ja niby głupstwa gadam? —Myśl o tém jak chcesz. —Ha! człowiek honoru nie może tego przebaczyć. Wyzwij go odemnie, kolego! —Co to za pieczeń? —Sarnia. —Nieprawda, wołowa. —Znasz się jak koza na pieprzu. —Odzywasz się jak osioł. —Co? ja osioł? człowiek honoru nie może tego przebaczyć. Wyzwij go odemnie. I tak dalej.... Aż oto po niedługim czasie, kilka grup zapierzonych, i nie słysząc, tylko honor, obraza, wyzwanie, strzelanie się, nienawiść na śmierć A co kością niezgody? Rzeczy zupełnie bezkosztne: pieczeń, jajko, kielbasa, baranek z cukru; bo honor ludzi honoru delikatniejszy jak baranek, kruchszy jak jajko, łatwiej się krwawi jak niedopieczona pieczeń. Ależ braterstwo! ależ takie święto! ależ cała nauka przeszłości! klócić się o lada co, kiedy wrogowie pragną waszych kłótni; bić się pomiędzy sobą, kiedy ze wszystkich stron biją. Gdzie loika? przez Boga! zamieniajcie wasz honor na rozum, na miłość! O nieodrodnym waszych ojców synowie! Plućie w oczy temu, kto by wam śmiało powiedział że nie jesteście szlachtą, nie prawem potomkami szlachty, nie jej krwią, nie jej kością. Nie, niezawstydzicie wy waszych przodków. W łonie matek wyryto wam na sercach za maksymę stanu: naród, to ja! i nie tego napisu zatrzeć niezdola. Ale uciszcie się na chwilę; posłuchajcie co wam powiem. Jużto widno ze wszystkiego, że potrzebujecie koniecznie bić drugich, lub siebie. Obcych nie możecie, bo obcy was biją; siebie niepowinności: byłoby to coś okropniejszego jeszcze jak rzeź niewinności. Czy niemożnaby temu zaradzić trybem Żydów. Nieoburzajcie się tym wzorem. Powiadają prawda, że Żydzi naród głupi, ale w niektórych rzeczach możecie ich naśladować bez poniżenia honoru waszego rozumu. Otoż ci Żydzi mają zwyczaj na pewną uroczystość najmować Chrześcijanina, który im przedstawia przez ten czas Hamana, i co zatem idzie musi wytrzymać wszystko, do czego tylko nienawiść ku innowiercom pobudzi zgromadzonych. Czy niebyłoby dobrze przyjąć ten zwyczaj. Sądźmy, że jakkolwiek Żydzi są głupi, w tém jednak mają więcej od was rozumu; roztropniejszy jest spędzać złość swoją na kims jak na sobie. Żeby zaś ten obrzęd niewykaczał przeciw miłości bliźniego, ustrójcie sobie bałwana, na podobieństwo na przykład Moskale albo Jezuitę. Takiego bałwana będziecie mogli lajać, rąbać, kłuć, strzelać, ile się wam podobą. Co większa, możemy was zapewnić, że podobny przeciwnik nie będzie was niegodzien. Bo i o cóż większa część waszych sporów?... O bałwana; a zatem kto dla swojego bałwana odsuwa na bok Polskę, godność nieszczęścia, interes sprawy narodowej, kotczy się miłości braterskiej, ten wyzuwa się z polskich uczuć, z polskiej duszy, z polskiego życia, zostaje bałwanem, i powinien zaspokajać się zemstą nad bałwanem.

ROZMAITOŚCI.

Co też ten komitet robić będzie, jeżeli się kiedy narodzi? pytał pewien jednoczyciel drugiego. —Myśleć o narodowej sprawie, rzecze drugi. —A emigracja? —Dawać składki. —To źle, odeprze pierwszy, jaby wolał myśleć jak pieniądze dawać.

—*Homo proponit, deus disponit*. Przysłowie to sprawdziło się w tych czasach na autorze nienarodowej *O narodowości polskiej* broszury. *Trzeci-Maj* uważa go za człowieka jeżeli nie zupełnie jeszcze jednego z arystokracją celów, to przynajmniej krok ku niej robiącego; *Młoda-Polska* za swego; *Zjednoczenie* za swego; a autor powiada, że pisał pełen przekonania, że go Tow. Dem. wezmie za swego, i niestety! całkiem przeciwnego doczekał się skutku!!!

—W broszurze nazywającej się: *Wiara, Nadzieja i Miłość*, a napisanej, jak wiecie niesie, przez bardzo młodego jeszcze autora, bez wiary, nadziei i miłości, obłożono Tow. Dem. zarzutem, że wszystko postawiło na karcie, czyli, że koniecznie a koniecznie chce Polski demokratycznej. Pewien dziennik emi-

gracyjny powtarzając z radością ten nowowynaleziony zarzut, nazywa go *wybornem i wszechstronnem skrytykowaniem* Towarzystwa. Nieprawdaz, że nietylko po uszach, —poznasz tak że zwierza po ryku.

—Idea szablistość coraz wyraźniej przebija się w *Trzecim-Maju*. Dowodem obosieczne artykuły o *Powstaniu*, a których początek i wątek: *dawaj Czartoryskiemu pieniądze, bo inaczej będziesz goły—jak gapa*. Powiadają, że gdy Czartoryski przeczytał tak loiczny wniosek, nominował autora tych artykułów profesorem *loiki* nowo-babińskiego królestwa.

—Symboliczna litera *X*, nieprzystoi wcale *Trzeciemu-Majowi* do oznaczania niesymbolicznego tytułu króla babińskiego; dlatego radzilibyśmy Majistom, aby przyjmując pisownię Felińskiego, zastąpili obce *X*, narodowem *Ks*. Tym sposobem będą mogli pisać *K*, i cały świat zadowolą. Rójaliści albowiem czytać będą *król*, *Zjednoczenie książę*, *Papiści katolik*, *Demokraci kuglarz*, i zostanie jeszcze *cztery litery*, na przypadek gdyby kto żadnego z powyższych tytułów za stosowny nieuznał.

—Dla zbieraczy staroświeckich przysłów i wyrażeń, pospieszamy z ogłoszeniem wyrażenia, które odpowiadając doskonale moskiewskiemu: *krugom durak*, można uważać jako jeden z rysów wielkiego rozsądku narodowego, a nawet prócz widzenia przyszłości, a tém jest: *koronny głupiec*.

DOPEŁNIENIE WEZWANIA.

Na 12 stronnicy 2^o oddziału Pszonki wezwaliśmy kom. kor. *Zjednoczenia* o wymienienie autora listu (opinię kraju o emigracji), w okólniku téjże komisji (N^o 1787) zamieszczonego. Ze kom. kor. wezwaniu naszemu zadość nieuczyniła, my więc stosownie do uczynionej przez nas zapowiedzi, czynimy wiadomo że autorem onego listu jest Tarłowski Emil, młodzieniec przed rokiem na emigrację przybyły. Dziecinny pomysł listu niedziwi nas wcale, bo odpowiedni jest i wiekowi i doświadczeniu swego autora; ale zwracamy uwagę p. Emila na przysłowie: *Czém się skorupka za młodu napije, tém na starość trąci*, a p. Emil cały swój list zapelniał kłamstwami. Kłamstwa te, na tém większą zasługują naganę, że p. Emil nietylko sam z innem przekonaniem, niż teraz pisze, na emigrację przybył, lecz że nadto towarzyszył podróży jego wyznał, że na wyjeździe z kraju, *ten sam kraj właśnie o którym p. Emil takie kłamstwa popisał, zalecał najuroczyściej p. Emilowi, aby zaraz po przybyciu do Francji do Tow. Dem. wstąpił*. Niejesteśmy ciekawi wiedzieć, dla czego p. Emil za radą kraju nieposzedł, niedziwimy się, że w prywatnym liście chwali się, iż należał do wielkich czynności, do tajnych związków w kraju, bo to jest pospolita wada młodych ludzi, a mianowicie Polaków, *udawać na wojażu* jeżeli nie hrabiów, baronów, to przynajmniej, że tam gdzieś, daleko, w kraju coś wielkiego znaczyli; ale dziwny się kom. kor. że choć na tyle niezdobyła się rozsądku, żeby tych kłamstw dziecinnych drukiem nieogłaszała, zwłaszcza, że to ją postawiło na równi z *Trzecim-Majem*—denuncyantem. Jest wszakże coś, co tłumaczy ten nierozsadek kom. kor. Wiemy z pewnością, że list w mowie będący nie we wrześniu, jak położono w okólniku, ale dopiero w listopadzie był napisany, to jest wtenczas, kiedy już *kochany I...* (Ignacy Kozikowski) przekonany że z Tow. Dem. wykreślonym będzie, znajdował się w Paryżu, Wtedyto p. Emil z p. Ignacym, przy pomocy Stanisława Malinowskiego ukuli samotrzeć ów list o kraju, który wkrótce tenże Malinowski w swojej podróży z Paryża do Poitiers, zwołując zakłady w Orleans, Blois i Tours publicznie odczytywał, aby tym sposobem udaną powagą jakiegoś wytrawionego obywatela z kraju, a rzeczywistie niedoświadczonego jeszcze studenta, burzyć umysł przeciw Tow. Dem. a sobie drogę do kom. kor. torować. Jakoż i wszedł Malinowski do składu komisji, i zapewne przez wdzięczność, umieścił w okólnikach list p. Emila, jak on bursz niemiecki, co zawięsza z tryumfem na ścianie knajpy, kij, którym przed chwilą hałasował po bruku. Wdzięczność.... zawsze godna pochwały, ale co myśleć o młodzieńcach, którzy od kłamstwa żywot swój rozpoczynają.

LEKCYA DYPLMATYCZNA

CZYLI

AMBASADOR NA KSIĘŻYC.

KOMEDIA SERIO W JEDNYM AKCIE.

SCENA I.

(Pokój sypialny Księcia-Pana, przybrany w rozmaite temu celowi odpowiednie sprzęty; na kanapie, po stolikach i na biurze rozrzucone papiery; Książę w pantoflach haftowanych, w aksamitnym szlafroku, z fularcem na głowie, w fotelu à la Voltaire, wkłada list w kopertę i pisze, czytając na głos: «Jaśnie Wielmożnemu Hrabemu na Dudlinie Dudlickiemu, mojemu dawnemu przyjacielowi — na księżycu»).

(Po chwili milczenia). Ten krok jest nagłym i nieodbitcie potrzebnym; niema ani chwili do stracenia, jeśli wiadomości, które odebrałem z księżycu są prawdziwe. Miałby księżyc odpaść od korony?... miałby duch demokratycznych poddmuchów ogarnąć nawet osiwiałe, starszylackie głowy?... Nie!... to być niemożliwe! Ależ ten list... (bierze papier z biurka) list własnoręczny Hr. Dudlickiego... (otwiera i czyta) «Najznakomitszych niegdyś domów potomkowie odrodni, nieszlacheckim i nieojcowskim zwyczajem, rozprawiają o rzeczach, których *nostris in temporibus* ludzie stanu *abordać* nieśmieli, wzdychając do Rzeczypospolitej, *et hanc* nie na stanie rycerskim, *sicut olim fuerat*, lecz na chamstwie fundować *sibi proponunt*» (gniecie list w garści). Czy poszaleli?... (zrywa się z krzesła). Ach! mości-panowie!.. Mogłem się spodziewać że sześćdziesięcioletnia niewola zamieni was w demagogów, w nieprzyjaciół waszych własnych praw, prerogatyw, przywilejów, swobód... Nieszczęśni.. do mnie... Jam król, jam pan, jam zbawca wasz... Do mnie... albo odpowiecie mi ciężko... (leci do drzwi z podniesioną w górę pięścią. Sekretarz wchodzi z filiżanką czekolady i przestraszony cofa się; książę nagle zachodzi mu z przodu, bierze filiżankę i przychodząc do przytomności). Pan się fatyguje... dziękuję... Przepraszam, ale mam jeszcze parę depeszów do napisania... (Sekretarz wychodzi jednemu, a książę drugimi drzwiami).

SCENA II.

(Przedpokój; — Sekretarz, Ambasador i Lokaj).

SEKRETARZ (zastępując ode drzwi ambasadorowi). Z przeproszeniem... Pan teraz wejść niemożesz... Książę zatrudniony.

AMBASADOR. Doprawdy?... Książę zatrudniony... Pan sekretarz żartuje... (bierze za kłamekę).

SEKRETARZ (przytrzymując rękę Ambasadora). Bardzo proszę pana niezapominać gdzie jesteś i z kim masz do czynienia....

AMBASADOR (z ironią i uniesieniem). Ho! ho! ho!... jaki mi szparki... niechno pan Sekretarz tak się *nienabańdzi*... bo ja się *czepkić* jego miny *niezleknie*... *Nie z kijać się wyrwało, nikomu w teb nie dało*... (posuwa się nagle i robi postawę jakby do bójki).

LOKAJ (wpada między nich). Na Boga, Wielmożni Panowie... dyć to nie karczma... (słychać dzwonek).

WSZYSCY TRZEJ RAZEM. Książę! (Lokaj wybiega).

SCENA III.

(Salon w guście golyckim; na sprzętach, suficie i dywanie szyte lub rżnięte herby i korony; Książę w głębi salonu na krześle wznioślejszym nakształt tronu).

LOKAJ (wchodząc). Co Jaśnie Oświecony Pan rozkaże?

KSIĄŻĘ. Co tam za hałas w przedpokoju?...

LOKAJ. To pan Sekretarz miał się ścierać z panem Ambasadorem... ale już nic niema...

KSIĄŻĘ. Wołaj pana Ambasadora, a panu Sekretarzowi powiedz niech pilnuje obiadu (Lokaj wychodzi).

SCENA IV.

(Książę i Ambasador).

AMBASADOR (wchodzi na palcach). Jaśnie Oświecony Pan.... (posuwa się nieśmiało, kłaniając się za każdym krokiem).

KSIĄŻĘ (bijąc ręką po kolanie za każdym ukłonem). Dobrze... dobrze... bardzo dobrze... przewybornie... stój!...

AMBASADOR (zatrzymując się jak wryty). Najmiłościwsza wola Jaśnie Oświeconego Pana...

KSIĄŻĘ (przerywając). Przed osobami z krwi królewskiej, *un envoyé extraordinaire*, zatrzymuje się na kroków cztery do pięciu. O prawie tym, praktykowanym po wszystkich dworach, mówić obszernie w ostatnim swoim dziele sławny pisarz niemiecki... (bierze się za głowę) *Son nom m'échappe*... Zaczyna się na G...

AMBASADOR (z pośpiechem). Galileusz, Jaśnie Oświecony Panie.

KSIĄŻĘ (pieszczotliwie). Skądże Panu, co ma tak rozległe wiadomości, przyszło taką niedorzeczność powiedzieć!?. *N'importe*... Wszakże winienem Panu z tej okazji zrobić uwagę, *savoir*, że w dyplomacyi trzeba umieć: 1° milczeć, 2° mówić w porę, 3° mówić wiele *pour ne rien dire*, 4° mówić mało *pour dire beaucoup*, et 5° dyssymulować. Te są główne najznakomitsze w teraźniejszych czasach profesyi przepisy. Zebrałem je treściwie, żebyś je Pan łatwiej pojął i w pamięci zatrzymał. Wszystkie traktaty spisane przez Martensa w kilkunastu tomach, na których od wielu wieków stały losy Europy całej, do tych pięciu redukują się kategorie (posirzegając że pan Ambasador strzela baki). Niech mi je Pan wyliczy...

AMBASADOR (zaambarasowany). Bez wątpienia... tak... Marcinkiewicz pisząc o traktatach...

KSIĄŻĘ (do siebie). Ah! *quelle tête carrée* (głośno). Niech się Pan nietrwoży... *Tout à l'heure* Pan byłeś roztargnionym... Roztargnienie gra wielką rolę w dyplomacyi... Miałem w życiu mojem liczne i szczęśliwe tego przykłady... Przypomnij ten, kiedy się łączy *avec un certain laissez-aller, avec une certaine bonhomie*, jest najdroższym darem nieba dla człowieka stanu... (postrzegając że Ambasador poziewa). Wszystkie te uwagi, będziesz Pan miał wydane sobie z kancelaryi mojej na piśmie... trzeba się ich nauczyć na pamięć... *C'est urgent*... Tymczasem przystąpmy do rzeczy...

AMBASADOR (posuwając się naprzód, — do siebie). Dzięki Bogu!

KSIĄŻĘ (wskazując ręką). *Ce que vous venez de faire* jest nie w miejscu; jam Panu żadnego do zbliżenia się nie dał znaku; niech Pan wróci na swoje stanowisko... (Ambasador cofa się). Mówiąc o przystąpieniu do rzeczy, nie myślałem bynajmniej o osobach. Dyplomacya przyjmuje w całej ścisłości tę klasyfikację ustaloną przez prawo rzymskie... *Les choses sont* bardzo często brane w sensie przenośnym... (postrzegając że Ambasador blednieje, chwycie się i ślania). Co Panu?... Pan odchodzisz od zmysłów... (dzwoni — do lokaja wchodzącego) Podaj krzesło... tu, między mną a J.W. Panem Ambasadorem... bliżej, dalej... dalej... jeszcze trochę naprzód... (do Ambasadora). Niech Pan siada. (Ambasador siada. Lokaj wychodzi. (Książę dobywa papier i czyta do siebie). «Temperament nerwowy, usposobiony do migreny, spazmów, hallucynacji, jest jednym z najwłaściwszych do wszelkich wielkich operacji dyplmatycznych» (chowa papier, — do Ambasadora). Jakże się Pan masz? To dobrze... niech się Pan nieleką... Dyspozycya do słabowitości, *c'est une grande ressource*, z której Pan nieraz będziesz miał sposobność wielkie wyciągnąć korzyści... Napoleon we Włoszech otrzymał najpiękniejszy traktat rozbiem nerwowem filiżanki... Marya Teresa zemdliała przy podpisaniu drugiego rozbioru Polski... Król Pruski przy trzecim rozbiórze był przez dwa dni w konwulsjach... (Ambasador spoziera zrym na zegar). Ale wróćmy do rzeczy. Otóż, mam honor powiedzieć Panu, że z rozmowy naszej z prawdziwym widzę ukontentowaniem, że Pan posiadając znakomite a w dyplomacyi nieodbitcie potrzebne przymioty, przyzwolicie i pomyślnie sprawisz się z misją, którą mu z pełnem zaufaniem powierzam.

AMBASADOR (żywo). Ach! co to Jaśnie Oświecony Panie, to prawda. Choć niebyłem nigdy na księżycu, ale znam go jak na palcach. Więcej tam o mnie gadają jak tu w Pa-ryżu.

KSIĄŻE (z przymileniem). Popularność pańska w tamtych stronach jest mi tem potrzebniejszą, że trudną, jak mi się zdaje, trzeba będzie mieć rozprawę, z osobami nawet znakomitego rodzaju, niestety!... chwiejącami się w naszych monarchiczno-dyplomatycznych zasadach.

AMBASADOR (porywając ręką za bok). Ta szabla... (postrzegając się że jej niema) Przepraszam Jaśnie Oświeconego Pana... już ja tam znajdę sposoby.

KSIĄŻE (przewlekając). Gwałtowność i popędliwość mogłyby więcej złego niż dobrego narobić. Ja owszem radzę, i polecam Panu grzeczność, etykiety, układność. Kilku słowy ujmującami można zdobyć często najzakamienialsze serca... Mów Pan im o mojej wytrwałości, o mojem poświęceniu, o moich zdolnościach i obywatelskich cnotach. Mów o Księżnie-Pani, o jej wylaniu się dla biednych, o danych na ten cel balach, loteryach, widowiskach, i tym podobnych filantropicznych jej trudach. Mów i o moich dzieciach. Dobrze się uczą, zdrowo rosną i tłuście. A na czemże stoją narody, jeśli nie na dy-nastyach? a dynastye na czem, jeśli nie na dzieciach? (ociera oczy chustką).

AMBASADOR (placzącym głosem). Przysięgam, że powiem, ach! powiem... (zapalając się) com widział, com słyszał, o Jaśnie Oświeconej Pani. Powiem jak jednego wieczora, anielska kibiś, obleczone złotolitym obrąbkiem....

KSIĄŻE (przerwijając). Cy!... ani słowa o zlocie... o strojach... wystawie naszego biednego domowstwa..... Ubóstwo jest cnotą chrześcijańską, a emigracyjną koniecznością.. Mów raczej o ubóstwie... (podając list). Z resztą, Hrabia Dudlicki, któremu ten list wręczysz, będzie twoim opiekunem i mentorem; jego masz słuchać, a mnie зда- wać raporta.

AMBASADOR (podskakując). Co tydzień będziesz Jaśnie Oświecony Pan miał odemnie najmnij jeden raport, a raport sążnisty i ważny...

KSIĄŻE (z przymileniem). W rozmowie, równie jak w piśmie, trzeba się starać, ile można, o język czysty i poprawny. *En attendant, voici Pański passeport.* (podaje papier).

AMBASADOR. A pieniądze na podróż Jasnie Oświecony Panie?

KSIĄŻE (podając drugi papier). Jutro za tym kwitem odbierzesz je Pan z kasy Tow. Dam polskich.

AMBASADOR (kłaniając się). Żegnam Jaśnie Oświeconego Pana. Kto z Bogiem z tym i Bóg.

KSIĄŻE (z przymileniem). Adieu... (uderzając Ambasadora po ramieniu). *Disce puer, faciam te Mościpanie.* Adieu... A nadewszystko sekret... absolutny sekret...

AMBASADOR. A moi czytelnicy, jak się zapytają gdzie się po-dział?

KSIĄŻE (zbliżając się do ucha). Moja gawiedź roztrąbi, żeś wy-jechał na słońce dla poratowania zdrowia.

AMBASADOR (całując w ramię księcia). Prześlicznie... Upadam do nog... całuje stopy pańskie... do zobaczyska... (wychodzi).

Im dalej w las tém więcej dREW.

Bądź pochwalona emigrancka wolności duku! Powtarzamy to tyle razy, ile tylko razy świeża woń drukarni, choćby naj-mniej wonna, jak naprzykład Mare-Se-Żermenska, objawi nam rozkwitnienie nowego świstka; ile razy przybędzie nowe nazwisko do szeregu nazwisk drukowanych, choćby S. S. z Or-leanu; a nadewszystko ile razy w nowym numerze *Trzeciego-Maja* znajdujemy nową dozę *praktycznego rozumu stronnictwa rdzennego*. Dziś zwłaszcza, w porze wiosennej kuracyi, kiedy hygijena zaleca czyszczenie krwi przez emetyki, ten nowy ro-dzaj *Leroy* jest dla nas wysokości wartości, a całą wdzięczność za lekarstwo winniśmy wolności duku. Wprawdzie, mówiąc nawiasem, lekarstwo jest cokolwiek końskie, zamocne sprawa nudności, stosowniejsze dla bydła niż dla ludzi; ale kiedy

z drugiej strony zważymy na twardą kompleksę emigracyi, uniewinniamy w połowie szanownych dynastyko-gryzmolów i koniec końców błogosławimy emigranckiej wolności duku.

Wypłaciwszy dług retoryce, przystępujemy teraz do rzeczy od rzeczy, to jest do tego numeru *Trzeciego-Maja*, w którym jest mowa o Zawiszy, Konarskim i tym podobnych męczennikach za sprawę ludu polskiego. Stronnictwo rdzenne ni mniej ni więcej, tylko śpiewa w tém miejscu *Gorzkie Żale-Judasza*. Niebyłoby w tém nic złego, mając wzgląd na wielkopostną datę artykułu, ale w powodach do lamentu jest wiele więcej niż wiele, i mniej niż mało. Mniej niż mało rozumu, więcej niż wiele głupoty. Bo i wieceż dla czego głównie *Trzeci-Maj* ubolewa nad Zawiszą i Konarskim?... Oto, że zginęli bez ukazu Czartoryskiego, że niewzięli od niego patentu na wolność poświęcenia się. Cha... cha... cha... Śmiejecie się. Niemoże wam pomicieć się w głowach, aby podobna było posunąć niedorzeczność aż do pre-tensyi monopolu na poświęcenie. A wszakże nienawzięcie nas bajeczarni, bo naprzd: i największy nasz nieprzyjaciel po-sądzić nas o to niemoże, i powtóre: macie *czarne na białem*. Zaiste, były już rozmaite monopola: towarzystw uczonych na rozum; rządów na sól, mięso, cukier, tabakę; ale niebyło jeszcze monopolu na poświęcenie; jeszcze nikomu nieprzyszło do głowy zabronić drugiemu, aby się rzucił w pomoc nieszczę-śliwym i zginął dla ich ratunku. Prawda, że *Trzeci-Maj* nie-może się chlubić oryginalnością swojej niedorzeczności, bo już i spirytualiści i katolicy i bóg wie nie kto utrzymywali, że ażeby być zdolnym do poświęcenia się, trzeba być koniecznie spirytualistą, katolikiem i tym podobnie; mimo to jednak myśl *Trzeciego-Maja*, jest tak doskonale niedorzeczna, jak żeby ją nie kto inny, tylko sam *Trzeci-Maj* wynalazł. Byłoby jesz-cze pół biedy, gdyby *Trzeci-Maj* na tém uciał; ale *Trzeci-Maj* swojego tylko króla skończyć niemoże, z resztą zaś wszystko na papierze rozcina swójem piórem jak mieczem Aleksandra. To też i myśl powyższą przerabia na stosowne do swojej natury następstwo, i swoje głębokie polityczno-praktyczne rozumowa-nia zamyka twierdzeniem: że Konarski, Zawisza i im po-dobni są buntownikami. Przeciw komu? wołacie... Śmiałyby *Trzeci-Maj*, idąc w ślady papieża, zabraniać Polakom bunto-wać się przeciw Mikołajowi?... — Nie. Oto przeciw władzy namaszczonej atramentem redakcyi *Trzeciego-Maja*, prze-ciw Czartoryskiemu. — A to skąd znowu?... — Bo Woronicz zrobił Czartoryskiego królem, a król być niemoże bez władzy, a królewska władza, więc i Czartoryski, pochodzi od boga... — Cha! cha! cha!... Czartoryski pochodzi od Boga, dotąd tylko słyszeliśmy o Jagiellonach. — Ba, mówiono też i o kimś jeszcze... ale mniejsza o to, co mówiono kiedyś, dosyć że Czartoryski jest władzą prawą dla wszystkich Polaków. Tu jest miejsce dla powiastki, która rzuci cokolwiek światła na ciemne figury rycerzy królewskości *de facto*. Rozeszła się ona o wiele pier-wiej, nim będący w mowie artykuł *Trzeciego-Maja*. Miał to być na prywatnem posłuchaniu jednego młodego szlachcica u króla *de facto*. Majestat jego miał pomiędzy innemi, następne wypuścić słowa: «Wielki czyn w Polsce bez mojego upowa-żnienia dokonany za bunt uważam, i każdego, który się go do-puści, w swoim czasie, jako buntownika rozstrzelać każę.» Czyż nie ta sama myśl w *Trzecim-Maju*, z tą tylko różnicą, że powiedziana nie przez nos, nie po francuzku, i lękliej bo publiczniej, ale o to mniejsza; półnosem czy półgębkiem prze-cedzona, zawsze powiada: że każdy, kto nieuzna władzy *de fa-cto*, będzie uważany za buntownika i rozstrzelany. Niech już i tak będzie. My ludzie zgodni, a przynajmniej nie Donkiszoty; nieporwiemy się do mieczów o urojoną kochankę, ani nawet grozić będziemy... jednak chcemy porozumować; bo rozumo-wać, przynajmniej na emigracyi, o wszystkiem i wszystkim wolno; posuniemy więc dalej nitkę politycznego rozsądku *Trzeciego-Maja*. Przedewszystkiem oprzemy się na ogólniku niezaprzeczonym dzisiaj przez oświeczone narody, a między in-nemi i przez nasz własny, o ile zdania jego możemy być pewni z jego przeszłości. Głos ludu jest głosem boga. Rząd narodu ten jest dla niego najwłaściwszy, najprawszy, który on za taki uzna

i przyjmie; ma się rozumieć z całą wolnością myślenia, objawienia swojej myśli, i wprowadzenia jej w wykonanie. Polska była zawsze rzeczpospolitą. Czy słyszyście? była!... i może być Polska inną w przyszłości?... Wybiją więc chwila powstania; występuje z wami wasz król i powiada: Ja jestem prawą władzą Polaków!... A oto lud polski stawia rząd republikański i mówi: Ja lud, a ze mnie mój rząd, rząd ludu, jest jedyną władzą Polski; kto przeciw mnie, przeciw ludowi, ten jest buntownikiem; wyjąć go z pod prawa, i pierwszy lepszy niechaj mu w leń pali. A na czele listy, cała dynastia, jej hetmani, dygnitarze, pisarze, i tym podobni. Rozważcież, co by to było, gdyby rzeczy doszły do tego stanu?... Zaprawdę, dynastji takich ni sieją, ni orzą, same się płodzą; ale zwrócić chcemy waszą uwagę na możność, na konieczność prawie podobnego następstwa; przeciągamy wszechstronnie wasze pomysły przez najprostsze ich wynikiłości; pokazujemy całą ich niedorzeczność, więcej jak niedorzeczność, bo głupotę,—więcej jak głupotę, bo marzenie zgubę wam gotujące.... Do was reszta należy.

JESZCZE JEDNO

WSPOMNIENIE WSPOMNIENIA.

Niech to nikogo niedziwi, że znowu z powodu kalendarzyka mówić będziemy. Usprawiedliwia nas cel książki; albowiż nie napisana dla całorocznego użytku? Ale o to mniejsza; wolimy powiedzieć o czém pisać będziemy.

Miedzy innemi urojeniami, zdalo się autorowi *Wspomnienia*, że pojmuje podniosły umysł i jego stanowisko w świecie estetycznym, albo ogólniej mówiąc, umysłowym, a twierdzi najwyraźniej że ludzie podnioslejszego umysłu, walczący o usamowolnienie ducha, o przypuszczenie nowych ras do politycznych społeczeństw Europy, nie lubią poezji szorstkiej, krwawej, malującej rzeczywistość, a lubią poezję słodką, idealną, sentymentalną, wyrzukaną na złotą lirze, i że dla tego właśnie są takimi jak są. Z tematu więc owych podniosłych umysłów powiemy słów kilka.

Dwa są rodzaje podniosłych umysłów. (Mówiąc prawdę, my jeden tylko znamy, na drugi przystaliśmy chwilowo, przez grzeczność dla kalendarzyka). Pierwszego rodzaju nie można ogólnie lepiej określić, jak własnymi słowami tekstu: są to ludzie walczący o usamowolnienie ducha i przypuszczenie nowych ras do politycznych społeczeństw Europy. Ale trzeba tę minjaturkę rozprzestrzenić w portret.. Wejrząwszy przeto w szczegóły fizjonomii wypada jak następuje. Podniosły umysł pierwszego rodzaju jestto człowiek, któremu podobało się być protektorem rodzaju ludzkiego. Uznał on z łaski swojej, że możnaby nareszcie duch usamowolnić, i dać nowym rasom jakiś tam udział w społecznym politycznym życiu. Na tém nie koniec: waleczny podniosły umysł dla poparcia swojej opinii zabiera się do walki. Ale nie głupi, przedewszystkiém stawia się tak, żeby mu niezaszkodziła i największa klęska jego strony; wynosi się nad ludzkość, nad materję, i ogłasza że tylko duchem dla ducha walczą. Walczy więc odziany szlafrokiem, rozpoczyna w wygodnym karle, uzbrojony piórem. Jego linja operacyjna—ulica takiego na przykład miasta jak Paryż; punkt oparcia—stolik z herbata, otoczony wieniec podobnych jemu podniosłych umysłów; biwak—w kawiarni lub w pierzynch. Wojak ten manewruje jak Skrzynecki, jest wszędzie gdzie nie ma nieprzyjaciela; spotkawszy go przypadkiem, uśmiechnie się i pójdzie w swoją drogę. A że walczy duchem z duchem dla ducha, z materją więc, z ciałem, z ludzkością żyjącą, przynajmniej z jedną jej połową niema nic do czynienia. Nic go też nieobchodzi co się dzieje z jej ciałem, nadewszystko lęka się współczucia jej bólu, niemoże tego pojąć jak to boli. Zawołaj pod chłostą jękiem cierpienia, przekleństwem lub groźbą, on zatyka uszy i woła: A pfe! kto widział tak krzyczeć! to nie szlachetnie! to nie lirycznie! Taki odgłos mąci harmoniję jego nadziemskiej liryki, płoszy jego rajske zachwycenie. Toż gdyby zależało od niego przeciągnąłby tę wojnę jak najdłużęj, bo w rzeczy samej wszystko mu jedno, pokój czy taka wojna.

Wstąpił w szranki walczących duchów, ot tak sobie, jak dylltant, z fantazyi, czasem dla pieniędzy, czasem z pretensją do umysłu takiej wzniosłości, do jakiej duch jego dosiadać może, ale zawsze pod warunkiem, żeby to niebyło nic więcej tylko wojna duchów. Cały ten obraz zamknijmy dwoma prawdami: pierwsza, że taki podniosły umysł stoi na tej ziemi do góry nogami, i bierze swój zawrót głowy z przyczyny podobnego położenia za upojenie się wzniosłym stanowiskiem: druga prawda: że taki podniosły umysł diabła wart, niewyluczając nawet kalendarzyka.

Drugi rodzaj podniosłych umysłów nieprzestaje na biernym duchowym walczeniu o usamowolnienie ducha, o prawo do politycznego życia, ale się sam usamowolnia, sam zajmuje należne mu stanowiska, nieprosząc przywłaszczycieli o zrobienie mu miejsca, jako o łaskę jaką; zabiera je takim samym prawem, jakim wciąga do piersi powietrze, którem oddycha. Rodzaj ten walczy ciałem i duchem o ducha i ciało. Składa go gnębiona część ludzkości i szlachetna część gnębiącej, która w natchnieniu poświęcenia zrzeka się dobrowolnie korzyści swojej przewagi i łączy się ze skrzywdzonymi dla odpokutowania podziałem ich losu, całém życiem trudów i ofiar mimowolnego grzechu należenia przez chwilę do panujących. Dla tego rodzaju walka nie jest igraszką, jak nie jest igraszką cały byt jego. Na kim dolegliwości niepogód, wycieńczenie pracy, tortury niedostatku, szaleństwa tyranii, wszystkie cierpienia, wszystkie klęski rodu ludzkiego, grają bez ustanku jak na muzycznym naczyniu, dla tego jedynym wytnieniem jest walka z przyczynami tego stanu, dla takiego i poezja niebrzęczy słodko jak złota lira, ale grzmi jak muzyka bitwy w najwyższym jej nateżeniu. Koniec końców ten tylko rodzaj ma podniosły umysł, i może śmiało wołać do salonowych swoich sprzymierzeńców: Jdźcie precz! jesteście oszusty!

NOWY SPOSÓB UNIEWINNENIA SIĘ.

Wyborne jest przysłowie naszego ludu: *Ksiądz nie chłop, ale półtora chłopca*; maluje bowiem w kilku wyrazach charakter i obyczaje człowieka, który powołaniem swoim wynosząc się nad gmin, nie tylko że nieporzuca jego narowów, ale w półtorakroć je powiększa. Nierzadko zdarza się widzieć księdza, a mianowicie staręj daty, zalewającego się gorzałką, bijącego się w karczmie, przewodniczącego rozpucie, słowem spełniającego misję zgorzenia; jeżeli te przywary zazwyczaj, aczkolwiek niesprawiedliwie przypisujemy chłopom naszym, tedy u księży przechodzą one wszelkie granice, bo do nich zwykle przylączy się zepsucie miasta, jakim jeszcze w seminarjum lub w szkołach nasiąkli, a jeszcze więcej pozor religij, służący frymarkom w obrzędach kościelnych i tysiącnych wykpięgroszach. Nic więc dziwnego że czyto szlachcic, czy wiesniak nazwał księdza półtora-chłopem, kiedy pod jego sutanną, nie kapłańskiego, nie wznioślejszego nieprzebijało się. Obwiniać oto niemożna indywidualów; te zawsze są jedne; lecz przekleństwa są godne rządy ciemiężców, które apostołów ludu w stanie zwierzęcym utrzymać usiłują. Zdaje się jednakże że duch wieku, duch, który się prawie wciąga z powietrzem, choć go komory i celnicy odstrasza, wywierca wpływ zawierny na młode plemie księży. W Austrii, gdzie ledwie co sto lat tryb nauk się odmienia, widzimy dziś ogromną różnicę między dawną a nową rasą księży; zapewne nikt tego niepołoży na karb wychowania publicznego, ale na popęd wstrząsający masą, na jakąś ideę która sama apostołuje niewiedomie. Wypadek niedawno zasły w Galicji, wybornie stwierdza powyższe nasze uwagi; wystawia on dwóch księży ruskich: starego i młodego, i figurę rządową, która z powołania swego sieje zarody zepsucia w gminie, aczkolwiek nieokrzesanym, lecz prostodusznym i nieprzewrotnym.

We wsi C. ... mieszka ksiądz starej daty, zawołany pijak i hulaka. Przy szczupłych dochodach ruskiego probostwa, trudno mu było dogadzać fantazyi bankietowania i wyprawiania

odpuśc; ale uświęcony stary zwyczaj zdzierania chłopu, napełnia zawsze jego stodołę i spiżarnię, a gąsiorom z miodem i wódką nigdy nie medaje wyschnąć. Do tak rzadkiego przymiotu posiadał jeszcze i ten, że zawsze szukał kompanii ażeby wypić; w samotności zaś o tyle tylko zaglądał do ulubionej przyjaciółki, o ile potrzeba było tego na rozpędzenie nudów i melancholii. Pewnego razu kiedy deszcz padał, a nie było nawet pisarza gorzelnianego, który mu zawsze dotrzymywał, już był czwarty raz zajrzał na dno ampulki, przeklinając że niema nawet do kogo powiedzieć; *w ręce twoje!* gdy w tem coś zapluskalo na błotnym podwórku, ksiądz wyjrzał oknem, i uradowany postrzegł zajężdżającą bryczkę parą chabetekami.

—Ignas! Ignas! wołał uradowany dobrodziej. Spadasz mi jak z nieba. I uściśkał młodego seminarzystę, który miał już niebawem wyświęcić się na księdza. Byłto syn jednego z ruskich księży sąsiedniej wioski.

Po krótkiej pogadance jak zwykle o drodze i deszczu, dobrodziej krzychał na gospodynię, aby dała knyszy, masła i wódki.

Młody się wymawia że tylko na krótko wstąpił, że musi spieszyc do miasta za interesem ojca; ale dobrodziej jak się przyczepił.—A jedź! a pij! tak musiał jeden i drugi kieliszek anyżówki wychylić.

Do dawniejszych łyków gdy się nowe przyczyły, ksiądz rozgorzał jak upiór, ścisnął, płakał, przeklinał, i wołał: Siedz synu, takiego dam ci miodku, że i u księży dominikanów nieznajdzie. To mówiąc nalał sporą szklanice i sobie i jemu.

Stary ksiądz w zapale już drugą i trzecią wytrąbił, gdy w tem postrzegł, jak seminarzysta, z widocznym wstrętem, swoją pod stół wylewa.

—Co lotrze, dar boży tobie poniewierać!... wrzasnął, jakby na widok świętokradztwa, i szklanka palnął go w głowę. Na to pierwsze hasło do boju, młody oddał, i wnet leciały faszki, gąsior, misy, stolki... aż dobrodziej rozjuszony, (a wielki zeń wariat kiedy w czub naleje) wypadł do piekarni i huknął na parobków:—Hej chłopcy, kwartę wódki każdemu, związać mi tego suki-syna.

Stało się zadość rozkazowi; nasz seminarzysta zbity, pokaleczony, nakoniec związany w kij, został wrzucony na rozkaz samowładnego pana do piwnicy. Po tym wybuchu, ksiądz jakby nic niezaszło, spać się położył; ale gdy się przechrapawszy wytrzeźwił, przyszła mu pamięć, poskrobał się w głowę, więźnia kazał rozwiązać i wsadzić na bryczkę ledwo żywego...

Za kilka dni, w których nasz dobrodziej niewiem wiele razy był pijany i trzeźwy, siedział znowu melancholijny na przyzbie i rozwijał papier urzędowym złożony sposobem; był to pozew przed sąd kryminalny za gwałt i pobicie...

Obok stojąca, pełna, niezaczęta faszka, niemogła go zotrętwienia wyprowadzić; już chciał ją kopnąć nogą i zawołać: Przepadaj szatańska pokuso; gdy na koniku, przyjaciel jego, mandatarz, wpadł na podwórze, krzyżąc zdaleka: Dzień dobry księżulu, co tam nowego?...
—Nieszczęście!!!

—No? Czy arendarz wódki nie chce dawać na kredyt?

—Żart na bok, panie sądziu! Na moje stare lata...

—Pewnie księżunio coś splatał i dziekan mu przysyła nosa. Ten papier...

—Faszki dziekan; czytaj i ratuj!...

—Pozew kryminalny... ho! to grubo!—Któż jest ten oskarżyciel?...

—Młody seminarzysta...

—Seminarzysta? Bravo!—Jakem wasz przyjaciel niech was o to głowa nieboli.. Tymczasem wódecki łyknem i zjemy obiad; a potem ja cie księżunio nauczę jaką piosnkę spiewać...

Jak się wam zdaje szanowni czytelnicy, ksiądz osiedział w kryminale jak ruski miesiąc? Bynajmniej... Pan sądzia tak zręcznie piórkiem pokręcił, że sąd kryminalny wydał owszem wyrok na seminarzystę za propagandę *Ksiąg pielgrzymstwa* i broszur *Lamenego*, które ksiądz obwiniony, jako *corpus delicti* przeciw młodemu seminarzyscie przed sądem złożył...

ROZMAITOŚCI.

Nowa-Polska, którą wszyscy mieli za nieboszczkę, przebudziła się i wydała trzy okropne zgrzytnienia zębów.—Więc to był letarg?...—Bynajmniej... Trup zawsze trupem, tylko komisya korespondencyjna Zjednoczenia zrobiła sobie zabawkę galwanizować go.

—Niektórzy zarzucają *Nowej-Polsce* niewdzięczność. To niesprawiedliwie; bo kto tylko *Nowej-Polsce* da grosze, temu ona zaraz pisze pochwały.

—*Nowa-Polska* zapisuje często takie wyrażenie: *Nowa-Polska* została *nakloniona*, np. w r. 1831 do rozpisywania swoich uwielbień ministrowi moskiewskiemu; potem do ogłoszenia w *Spektatorze-Angielskim*, że Mikołaj źle nie chce, że gdzie jego indywidualna wola przemaga, tam jej dla dobra ludu używa; a teraz do paszkwilowania Centralizacyi Tow. Dem. Pol. Czy też u wydawców *Nowej-Polski* wyraz *nakloniony* nie jest jednoznaczny z wyrazem *zaplącony*?...

—Mówią że gdy jakiś święty wskrzesił pewnego pocziwego ojca, ten na widok rozpusty syna umarł z żalu na nowo. Co by się też stało z Mochackim, żeby kiedy zmartwychwstał a zobaczył do jakich podłości *Trzeci-Maj* używa imienia jego?...

—*Trzeci-Maj* rozpisuje że jakiś tam deputowany amerykański pięścią dostał. *Trzeci-Maj* rozwodząc się nad tem, nasładowuje onego żyda, który codziennie cebulę jedząc, dziwił się gdy zobaczył pewnego razu chrześcijanina cebulę jedzącego.

—*Orzeł-biały-bruzelski*, z tego, że emigracyjne pisma gadają o nim niekiedy, wnosi, że niemusi być bez talentu. Co też to ksiądz Praniewicz musi myśleć o sobie?...

—Gotuje się do wyjścia na świat dzieło, pod tytułem: *Obraz synoptryczny sprawy między ex-demokratami a Centralizacyą Tow. Dem. Pol.* na jednym wielkim arkuszu, który obejmie rękopis ze stu arkuszy zapisanych na wszystkie boki, wszędy i wzdłuż, a przeto będzie się równał powierzchni 400 stop kwadratowych. Nadto ma być przyłączony do niego mały dodatek, bo tylko dwa razy większy od głównego dzieła, złożony z deklaracyi, protestacyi, proklamacyi, ustnych i pisanych przeciw Tow. Dem. artykułów polemicznych *Nowej i Młodej-Polski*, *Kroniki*, *Tygodnika emigracyjnego*, *Polaka*, *Polaków* na tularctwie, *Spraw emigracyi*, *Trzeciego-Maja*, *Orla-białego*, *Okólników komisji koresp. i t. d. i t. d. i t. d.* Układ całego dzieła przyjęła na siebie *Nowa-Polska* za stosownem *naklonieniem*; uszlachetnienie zaś stylu, uproszczenie wyrażen, rozjaśnienie miejsc zawikłanych; ma być powierzone kutemu na cztery nogi pióru redaktorów *Orla-białego*.

—Jezuickie stronnictwo zyskało nowego pisarza, w osobie niejakiego Ludwika Milkowskiego, który, proszony czy nieproszony, ale najpodobniej wyrwawszy się *jak Filip z konopi*, występuje w obronie broszury p. Oręgi, i w tłumie przerozmaitego rodzaju bredni, chce za swoim pryncypałem wmówić w Sławian, że ich i najpierworodniejsi nawet przodkowie nieznali wolności. Z tego co napisał, niepodobrzywamy p. Milkowskiego o znajomość języków obcych, ale jeżeli umie czytać po polsku, niech przejrzy historyków polskich, a przekona się że jak Polska Polską, równego p. Milkowskiemu bredniarza nie było. I to sława!!!

Komisya kor. Zjednoczenia ma zwyczaj posyłać *Pszonce* swoje okólniki w kilka tygodni później niżeli gminom i innym czytelnikom. Może kom. kor. mieć w tem swoje wyrachowanie, ale że *Pszonka* po każdorazowym wyjściu natychmiast się jej prezentuje, ma więc prawo dopominać się o bezzwłoczną rewizytę z jej strony.

KILKA SŁÓW DO TĘJ SZLACHTY CO SZCZÉRZE CHCE POLSKI.

PIERWSZE SŁOWO.

Czy wy szczérze chcecie Polski?—Szczérze, jak Bóg na niebie.—I gotowicie wszystko dla niej zrobić?—Wszystko, jak Bóg na niebie.—Ślicznie! z takimi ludźmi można otwarcie pogadać. Na zadatek nieżądamy po was nic więcej, tylko ażebyście oderwali się na chwilę od waszych interesów domowych, i ośmielili się przeczytać co wam napiszemy. Wszakże zaręczamy was najuroczyściej, że mówić będziemy nie o wierszach, nie o klutniach emigracyjnych, nie o teoriach francuzkich, nie o żadnej tym podobnej fraszce, ale o tem co dla was jest rzeczą najważniejszą jak to sami powiadacie, to jest o *zbawieniu polski*. Im ściślej rozważamy zagadnienie naszej sprawy, tém jaśniej przychodzimy do tęg prostęj pewności, że jęg pomyślność zależy od nauczania się i użycia przez naród kilku *sekrétów*. O nich więc rozprawiać z sobą będziemy, bez uniesień, bez metafizyki, jak przystoi na ludzi którzy jednego pragną i odsuwają na bok osobistości, gdy chodzi o dobro ogólne.

Jednym z wyżęj namienionych sekrétów, jest: *przypuszczenie całego ludu polskiego do udziału w życiu politycznym*. Wiecie zapewne, że mieć udział w życiu politycznym jest to samo, co mieć taką wolność jaką w czasach narodowęj niepodległości miał każdy szlachcic, z wyłączeniem raz na zawsze prawa do bezprawia. Niejesteście chłopami żebyście tego niewiedzieli. Otoż to jedno o co się starać powinniście. Ale wy mówicie: to być niemoże. Chłop nasz niema pojęcia życia politycznego, niepotrafi żyć politycznie; przypuścimy go do tego życia wtedy, kiedy będzie miał dosyć na to rozumu. Zmłujecie się Panowie! Nasamprzód jak wiecie że chłop wasz niepotrafi żyć politycznie? Nieinaczej, chyba tylko duchem proroczym! Niewierzcież jemu. Nieostrzegł on was o upadku Polski, nieprowadził was prostą drogą jęg zbawienia, niepowinien i w tęg rzeczy zasługiwać na waszą wiarę. Potém, jakim sposobem chłop nauczy się politycznego życia, jeżeli mu niedacie wolności i zręczności uczenia się? Możnaż inaczej wprawić się w to życie, jeżeli nie przez samo życie? Podług was niktby czytać nieumiał. Bez książki nikogo czytać nienauczysz, a wy powiadacie, damy mu książkę, jak będzie w stanie ją czytać. Podług was niktby żyć niemógł. Zatkali byście nowonarodzonemu gębę i mówilibyście, pozwolimy mu oddychać jak żyć będzie. Widzicie więc sami że podobna metoda jest nietrafna; pozwólcież chłopu spróbować innęj, tęg naprzykład, przez którą wy zostaliście takimi mędrcami, jakimi dziś jesteście. Wszak nieporodziliście się z rozumem politycznym, nabyliście go późnięj. Dla czegożby chłop niepotrafił tego co wy możecie? Wszak i jemu równie jak wam dał Bóg taką samą duszę, takie pojęcie, takie umysłowe zdolności, taką własność rozwijania ich wszechstronnego. Potrzeba tylko aby miał interes i pole uczenia się. Samém patrzeniem na was niebędzie mądry: już to tyle wieków patrzy, a sami powiadacie, że dotąd nic nieumie. Mylicie się więc o ile macie dobre chęci, o ile przypuszczamy w was ludzi wyniesionych nad wszystkie osobiste widoki. Teraz pokażemy wam że się mylicie, wyprowadzając rachuby wasze z interesu osobistego, z widoków szlacheckich. Przepraszamy, jest to tylko przypuszczenie. Przypuszczamy więc że się lękacie, ażeby w narodzie niebyło za wielu rozumnych. Ale jeżeli Bóg tego się niebał obdarzając rozumem każdego człowieka, to i wy możecie być spokojni. Spuśćcie się na Boga zupełnie w tęg rzecz; już on tak to pokieruje, żeby nikomu źle niebyło, a zatem i wam. Nieśmiemy także posądzać was o zazdrość. Rozum rozumowi nierobi żadnego uszczerbku; niejeto pieniądz który razem w dwóch kieszeniach znajdować się niemoże. Śród najmędrszych mogą mieć tyle rozumu, ile mi go tylko potrzeba. Niepojmujemy więc zazdrości względem rozumu, wyjąwszy kiedy chcemy z drugich korzystać, albo wyrażając się gminnie, okpiwać drugich; ale tęg zazdrości, tęg chęci, przypisać wam niemo-

żemy. Nieprawdaż?... Tyle już razy was okpiono, tak ciężko, tak haniebnie, że musicie brzydzić się tęg rzemiosłem, jak śmiertelnym grzechem. Doświadczyliście na sobie całej jęg szkarady, i dla tego niezechcecie zapewne wetować krzywdy krzywdą, i to jeszcze na niewinnych i słusznie robicie. Wiercie nam, jakiekolwiek mogą być powaby i korzyści w okpiwaniu bliźnich, w ich głupstwie, nigdy one nieprzeważają szkód jakie ztąd poniesiemy, zwłaszcza, kiedy ci głupcy są nasi rodacy. Gdybyśmy byli wcześnięj pomyśleli o rozumie naszego ludu, niebylibyśmy dziś mieli tyle kłopotu z rozumem Moskalów i Niemców! To prawda, że głupiego łatwięj skrzywdzić jak rozumnego; ale do czasu dzbana wodę nosi. Nuż znajdzie się rozum przeciwny twojemu rozumowi, i przyjdzie do głupiego któregoś skrzywdził i powie jemu: twój brat rozumny skrzywdził ciebie, ale ty wiesz przysłowie: że złodziej niebrat i t. d. otóż jest nas dwóch, chodźmy i odbierzmy co ci wydarł. Słowa te trafia w przekonanie głupiego, połącz się z nowym opiekunem, napađną cię we dwóch, odbiorą nieprawą własność, a w dodatku jeszcze ci i twoją wydrą. Mniejsza o to, że chytry opiekun, jak to zwykle bywa, skrzywdzi głupiego na nowo jak ty go skrzywdziłeś, kiedy co tobie zabrali, to przepađło. Czy niewolałbyś wtedy, żeby twój brat miał rozum i niepozwał się krzywdzić, a tęg samém niebył w konieczności szukania sobie obcych opiekunów i mszczenia się. W przystępie pokusy, możebys się gniewał na to; pojmujemy zły humor pański, kiedy coś stoi na zawadzie jęg fantazyi, ale przyszedłszy do chrześcijańskiego upamiętania, błogosławiłbyś tęg przeskodzie. A więc i to nie. To może sam widok głupców jest wam tak miły, żebyście ich jak najwięcej około siebie mieć chcieli?... Nasamprzód, upodobanie takie dowodzi złego wychowania. Ludzie przyzwocie ukształceni, jakimi wy jesteście, szukają odpowiednich sobie towarzystw i rozrywek; nie z wiatru zrodziło się przysłowie: *lepięj z rozumnym zgubić, jak z głupim znaleźć*; powtóre: zamknięcie się w podobnej sferze, przedęj czy późnięj wywiera swój wpływ szkodliwy na nasz własny umysł: nieczyste bagno zapowietrzy całą okolicę. Takim bagnem jest ciemnota massy która nas otacza; zgubnym jęg skutkiem jest owa głupota, której niechwałac się, ciągle oczewiste dajemy dowody, a najoczewistsze w tęg, że z nięj wyjść niechcemy, niewidzimy potrzeby. Nakoniec sam to przyznasz Szlachcicu-Panie, co za okropność twego położenia, kiedy, jako Pan, masz z głupim chłopem do czynienia. Czujemy to, jakbyśmy w tobie siedzieli. Cały dzień musisz się gniewać, łajac; nawykasz do słów nieprzyzwoitych, że czasem w takim miejscu wyrwiesz się z niemi, że się sam wstydzisz za siebie; psujesz sobie gardło, niejdziesz z apetytem, niestrawisz dobrze, nabierasz złego humoru, który ci zatruwa wszystkie przyjemności domowego pożycia, przy żonie takięj ładnej, śród dziełtek obiecujących tyle dla francuzczyzny; kwaśny jesteś w grocie łaskawych gości, a niezawodnie wszystko to z gniewu, że twój chłop taki głupi. W haniebniejszém jeszcze jesteś położeniu, kiedy posuniesz się do tego, że on leży przed tobą jak bydlę. ryczy jak bydlę, a ty stojąc nad nim, liczysz plagi, patrzysz na to wszystko i słuchasz tego wszystkiego. Coto wtedy musi dziać się w tobie, w tobie, który zapewne jak chłop masz ludzkie serce, i dosyć ludzkiego rozumu do pojęcia, że i chłop ma takie czucie jak ty, że swój ból tak czuje jak tybys czuł na jego miejscu. Ile to musi ciebie kosztować jedna taka chwila? miarkuje to po sobie. Kilka razy zdarzyło mi się być świadkiem podobnęj sceny, w domach z resztą bardzo uczciwych. Otoż patrząc na to, doznawałem tak dziwnego wzruszenia, że z rozkoszą byłbym widział na miejscu bitego chłopca, nie siebie to prawda, ale szanownego Pana. Ja myślę że coś podobnego musi dziać się w twojęj duszy, i że jeżeli bijesz chłopca, to za to chyba tylko, że taki głupi iż bić się pozwala. Niemożę wyszeptać innego źródła podobnęj wściekłości, w twojem sercu, piękniem jak herb twojego domu, ślachetnem przez krew matki i ojców, jeżeli przypadkiem masz ich kilku. A niebyłoby tego, żeby chłop miał taki rozum, jak ty masz mniej więcej. Teraz-że wyobraź sobie tego samego chłopca na równi umysłowęj i poli-

tycznej z tobą. Przychodzi do ciebie ubrany czysto, choć nie tak jak ty wykwinie, kłania się z uprzejmym uśmiechem, patrzy w oczy pogodnym spojrzeniem. zaczyna rzecz swoją bez skrobienia głowy, siada obok, mówi rozsądnie o interesach prywatnych, ze znajomością rzeczy o publicznych, z uczuciem i trafem zdaniem, tak, że patrząc na niego, ani ci na myśl nie przyjdzie, że ten sam człowiek przed kilkunastą laty raziłby twoje oczy gburowatą postawą, łachmanami ubioru, a może i czémś brzydszém jeszcze gdyby na zły humor trafił. Nie jest-że to rozkosz żyć z podobnymi ludźmi. A do tego nie więcej niepotrzeba tylko wprowadzić ich w życie polityczne. I niesadź ażeby ta rzecz miała ciebie tak wiele kosztować. Część tej usilności którą dziś obracasz na podlenie swych braci w twojej wsi, zwrócona ku ich oświeceniu; część miłości, niemówię już tej, którą kochasz siebie, swoją żonę i dzieci, ani tej która w komunikantach na twój dom spływa, ale część tej w której żyjesz z twemi kołmi i psami, rozlana na twoją wioskę; część ziemi, bez której możesz bezpiecznie spodziewać się miejsca w królestwie niebieskiem, a która dzisiaj, przeklęta od ludu, w jeden tylko plon wybujała, w niewolę twoją i drugich, i leży ci przed oczami, jak cerograf dany diabłu na duszę Polski, za co? za próżniackie przeigranie kilku chwil znikomych lichiej, ziemskiej wędrowki; część tej ziemi, część tej miłości, część tej usilności, poświęcona twojej wiosce, a żyłbyś wśród niej, jak w najmiłszym towarzystwie, miałbyś krocie serc dla siebie, na koniec miałbyś Polskę, i jaką jeszcze Polskę! Pomyśl nad tem.

UPRZĘJME RADY

Z POWODU WIEŚCI

O AMNESTYI MOSKIEWSKIEJ.

Jak atmosfera ziemi ma swoje niezdrowe wiatry, tak atmosferę emigracyjną przewiewają czasami zdarzenia, wieści, które diabelnie kuszą jej zdrowie. Niektóre z tych wiatrów emigracyjnych są niemal peryodyczne, a do nich należy puszczana od czasu do czasu wieść o amnestyi moskiewskiej, która właśnie niedawno, znowu nas nawiedziła. Przewiała dzięki Bogu bez widocznych złych skutków, tak się nam przynajmniej zdaje, ale czy bez śladu, o tem wątpimy. Dla tego pomówimy o niej cokolwiek, jak się mówi o szarańczy, o pomorku, które choć przeszły, mogą jednak wrócić; dobrze więc jest niespuszczać jch z bacności.

Istny to *simum* ta wieść o amnestyi. Jej pole, pustynia naszego emigranckiego bytu; ale skąd powstaje, dokąd zmierza, tego dotąd nikt jeszcze z dokładnością nie dociekał. A jakie dziwne fenomena jej obecność rodzi! Dla jednych jestto okropna, piekielna zmora, dla drugich widzenie rajske, postać anielska: stosownie do rozmaitego usposobienia umysłów. W przyrodzie niema dwóch rzeczy zupełnie sobie podobnych; jeżeli kto, to emigracja polska podlega temu prawu i niezaprzecza jemu nawet w Zjednoczeniu. Jedni widzą jarzmo moskiewskie pod postacią stryczka, a przynajmniej psiej obrózki; drudzy w miłych barwach orderowej wstęgi, w blasku haftów kamerjunkskich, szarf oficerskich, i tym podobnie. Jedni rozpoczęli rewolucję listopadową, aby wprowadzić naród na właściwą jemu drogę; drudzy przystąpili do niej dla tryumfu kilku formulek konstytucyjno-monarchicznych; trzeci przyczepili się do niej w nadziei carowania nad chłopami niezależnie od cara moskiewskiego. Jedni widzą w emigracji ciało powołane do dobrowolnego odpokutowania grzechów narodowych, do ułożenia się we wzór społeczeństwa, do jakiego cała ludzkość dąży; drudzy trzodkę rozpędzoną biczem pańskiego gniewu, i wzdychają tylko za tem, żeby się udobruchał jak najprędzej, kiedy tamci przeciwnie przekleli wszelką z nim spólność, i postanowili raczej zginąć na drodze swojego powołania, jak uratować się najmniejszą jego łaską. Jedni patrzą na Polskę okiem ludzkości, odgadują w niej posłannika wielkości i wolności plemion Sławiańskich, niejako Chrystusa Sławiańszczyzny;

drudzy niemają tylko jedno oko Gurowskiego, i niem nic więcej niewidzą w Polsce, tylko narzędzie cara, jakąś horde nakształt hordy samojedzkiej, lub kalmuckiej, przeznaczoną do podniesienia tronu cara o jeden stopień wyżej, i tak dalej, w nieskończoność. Z tych przyczyn, jedni niewierzą w możliwość amnestyi, ale z wewnętrznym dreszczem na jej wspomnienie, podobni do człowieka, który niewierzy w pokazywanie się duchów, a jednak za nic w świecie niechciałby przepędzić nocy z trupem na katafalku kościelnym; między drugimi są także którzy jej bardzo mało wierzą, albo wcale nie, ale dla tego tylko że jest nadzwyczajnem dla nich szczęściem; niewierzą jej jak dobry katolik, coto miałby za grzech ufać znanemu w zbawienie swojej duszy; mimo to żyją tą myślą, przygotowują się na wszelki wypadek, także stosownie do rozmaitych usposobień. Byłoby to ciekawe widowisko, sny tych Panów, wewnętrzna ich dusz robota, gdyby się mogły odbywać na jawie. Klubista Gaudot-de-Mauroy polyka ślinę na samą myśl bankietu jakim go powiat jego powita, bez ciężaru miesięcznej opłaty, bez despotyzmu tuzina dyrektorów, bez niemiłego widoku Demokracy lub Pszonki na stole czytelnym; dyplomata leci pocztą do Peterzburga i puszcza się torem Pozoo-di-Borgo; skromniejszy przestaje na stanowisku Gurowskiego; spekulant podsluchuje szarlatanów na polach elizejskich; ten zgalwanizował kieszenie całego sąsiedztwa; tamten w najbliższym jarmarkowym miasteczku Palais-Royal zakłada; ów podejmuje się sąsiadowi puścić parowe wozy od kurnika do gumna. A owa motyla chmara dobrego tonu w wernikowanym obuwii, z kawałkiem sera w kieszeni za całodziennę pożywnie, na skrzydłach z rewersów! Ten przenosi bulwary na uliczkę powiatowego miasteczka zalaną pullokciwem błotem i kokietuje żółtemi rakawieczkami żydóweczki siedzące na garkach z żarem; tamten wyobraża sobie salon S^t Zermęński w szlacheckiej ciupie, podpartej dębowym słupem i rozwała się lwem Paryżkim wśród szlachcianeczek osłupiałych na widok człowieka który mieszkał w Paryżu, jadł w Paryżu, spał w Paryżu, przechadzał się pod oknami Paryżkiego króla, i zawodzi z litewska po francuzku. A owa pocziwa, zawięda szlachta! O! ten brzydzi się wspomnieniem cudziemczyzny; chlubi się że uniknął jej zarazy, że wrócił jakim wyszedł: tandem, wchodzi znowu na tor swoich przodków, zamienia pałasz rewolucyjny na harapnik, ścisną go ze łzami, ślubuje mu wieczną wierność i kilkoletnią złość ku Demokratom spędza na chłopach. A dopieroż niezmordowane króloroby. Jak się to snuje! jak się to zwija! Jakto po wszystkich kończynach Polski rozwozi swój rozum praktyczny, nieoceniony, za pomierną cenę! A każdemu wtyka skrycie medal Adama I, w swoim rodzaju, i każdego błogosławi sakramentalną formułką: w Tego wiara, do Tego módl się, Temu dawaj pieniądze, a sam nie nierób. *In hoc signo vinces*. I tak dalej, w nieskończoność. Ale mówmy seryo! Chcecie wracać do kraju. W tem niema nic złego. Pojmujemy znudzenie za krajem, tęsknotę do niego, bo jedno i drugie dzielimy z wami. Przyznajemy nawet że jest lepiej dobrze pieć i jeść niżeli złe, a czasem gorzej niż złe; że jest lepiej mieć pieniądze jak niemięć; mieć je bez pracy jak z pracą: przyznajemy to wszystko. Niewchodzimy nawet na jakie się drogi rzucicie. Jeden to lubi, drugi owo! Różne są upodobania. Na słabości nawet mamy wyrozumienie. Ale żeby mieć z nich rozgrzeszenie, uważamy za konieczność dopełnienie jednego warunku. Nam się zdaje, że kto dla kraju emigrację opuszcza, robi to w postanowieniu być tam pożyteczniejszym sprawcą aniżeli w emigracji być można. Zapewne myślicie... zgadujecie co chcemy powiedzieć.—Jakto? mybyśmy znowu mieli?... Car... to nie swoboda francuzka. Łada pozór a oprzemy się gdzie pieprz rośnie, a może tam gdzie i pieprz nie rośnie.—Ależ nam się zdaje, że nam emigrantom niechodzi o bezpieczniejsze stanowisko, tylko o dogodniejsze.—O nie! my już zużyliśmy!—Kiedy tak to zostaniemy lepiej z nami. Kraj, rzecz zapaśna we wszystko. Niezbyswa jemu i na galganach. Obejdzie się bez was. Prawda że i nam niewielka z was pociecha. Z całego serca dalibyśmy wam krzyżyk na drogę, gdyby się dało tak zrobić, żebyście stąd wyjechawszy nie dojechali do kraju.

Ale że to rzeczy trudne do zrobienia, to lepiej z nami zostać. My dawni dobrzy znajomi jakoś łatwiej sobie poradzimy: na kraj byłoby za ciężko mieć do czynienia na raz z moskalami i z wami. A ty, Polsko! w suplikacjach swoich niezapominaj i o nich, wiele razy zaśpiewasz: od powietrza, głodu i ognia, tyle razy dodaj: i od powrotu emigrantów za amnestią cara — zachowaj nas Panie!

SŁOWO

KU POKRZEPIENIU PANA CENZORA.

Już też niema nic niepocziwszego jak ta emigracja polska, wyjawsz, ma się rozumieć dynastję z jej przyległościami. Niedosyć że znieważyla wszystko co do nas dopłynęło na potoku nieodrodnej krwi szlacheckiej, że zerwała wszystko co przez tyle czasu snuła puławsko-petersburska dyplomatyczna szkoła, że obrzucała błotem święte relikwie Jezuickich doktryn, odurzyła się myślą pracowania przez całą Polskę dla zbawienia całej Polski, wypowiedziała posłuszeństwo naturalnym swoim naczelnikom, postawiła ich na równi ze swoim motłochem, jeszcze na domiar niedorzeczności i grzechów rozpoczęła spory *de lana caprina*, o twoich zasługach, o twojej prawości; do ciebie się przyczepiła, przeznaczył mój Cenzorze. To już nie do zniesienia. Muszę ci nawiasem powiedzieć, że jestem ten pocziwy z pocziwych, ten rozumny z rozumnych, co myślą przede wszystkim o zabezpieczeniu sobie *pozycyi*; dla tego osiadłem na Mamartr, mało co niżej jak telegraf, i z mojej wysokości rozglądam się w strefie emigracyjnej; przypatruję się jak się żrą między sobą; z całym ogniem Polaka gorliwego o dobro sprawy notuję w pularesie ich dzieciństwa, i układam z nich piękne poezye, które kiedyś wydam pod tytułem: *Protokół Jeremijasz z Mamartr*. Ale sprawa twoja z emigracją wyrwała mi z moich katolickich kontemplacji. Jeżeli w czem, to w niej dostrzegłem robotę moskiewską, jak to odkryłeś z wielką przenikliwością, i rozgłaszasz z równą pocziwością. Bo i proszę, któż inny jeżeli nie duch moskiewski mógłby się targnąć na człowieka, który tyle przysług oddał krajowi, jeżdżąc to z Lelewalem, to z Panem Hrabią i Posłem Platerem, to z Panem Hrabią i Kasztelanem Olizarem, na człowieka który się poświęcił na Cenzorstwo, — istny Wallenrod! na człowieka który pod naszym okiem odegrywa tak piękną rolę, to w obronach Dulcynei-dynastyi, to w napadach na demokrację, — istny rycerz smutnej postaci! Nie! to tylko Moskale mogą robić. Ale trafiła kosa na kamień. Jeżeli kto, to ty dojedziesz końca tym Demokratom. Niezasłепiaj się jednak dotychczasowem powodzeniem. Twoi przeciwnicy poznali z kim mają do czynienia, wściekają się, ostatnich sił dobędą aby się wyrwać z twojej garści, jakkolwiek ona zapewne przywykła trzymać dobrze co raz złapie. Z drugiej strony masz wielkie korzyści. Jesteś niepodje-rzany! Życie twoje publiczne jasne jak słońce, czyste jak bursztyn, oko twoje prawdziwie cenzorskie dopatrzy najszybszą słabą stronę przeciwnika, twój spryt prawdziwie moskiewskiego urzędnika zabaczy co zajrzy, za pieniądze masz alians *Młodej Polski*, instynkt wiernego poddaństwa zapewnia ci protekcję dynastyi; nietrudno ci będzie o wsparcie ze strony praw krajowych; z resztą i ja kiedy niekiedy podeprę cię moimi radami, moją sympatją: możesz więc śmiało puszczać się w dalszą walkę. Prowadź ją tylko wciąż z taką godnością jak dotąd. Szkoda że ci się nieudał pomysł rozbudzenia jednym świstkiem wszystkich stowarzyszeń demokratycznych. Mądry to był pomysł; cios byłby stanowczy. Jednak nieupadaj na duchu i trzymaj się już drugiego planu upieczenia emigracji nad powolnym ogniem. O! piecz ją a dobrze. Między innemi, mógłbyś znowu użyć sposobu, który ci się podobno już raz udał. Porwij pierwszego lepszego przeciwnika, pozwij go o dyfamację; pułkownik równie jak ty zacny przysięgnie oficerskiem słowem żeś uczciwy, a ty wygrasz uczciwość i w dodatku kilkadziesiąt franków. Ale ty powiadasz, że się boisz ażeby cię nie-

wydano Rossyi. Kto? za co? kogo? komu? ciebie, Rossyi?... To mi się niemoże pomieścić w głowie. Na to potrzeba żebyś nie był politycznym przestępcą, tylko ot! takim zwyczajnym, jak każdy oszust, złodziej. Czego się po tobie spodziewać nie chcę. W tym razie, zdaje mi się odstąpiłeś od swojego poprzednika Rycerza z Lamanki. Tamten prawil baśnie mając je za rzeczywistość, a ty chcesz wmówić to czemu sam niewierzysz. Jeżeli jednak masz jakie powody obawy, na moje słowo bądź spokojny. Ja bym przysięgł, że człowiek z twoim zacnem usposobieniem znajdzie wszędzie sposoby i protektorów. Śmiało więc mój Wallenrodzie-Donkiszocie! Nowy świstek na przylbie! pióro do ataku! i dalej naprzód. Nadziejaj emigracye na pióro jak wróble na rożen. Nieradziłbym jednak popieć wszystkich bez wyjątku. Kraj także jak mówisz, ostrzy zęby na Demokratów: czemu łatwo wierzę, zwłaszcza od czasu jak ciebie zaczepili. Puszczaj więc na kraj resztę. Co ty nie wymordujesz, to tam dołkują. Zresztą umiarkowanie, to taka piękna enota bohaterów. Na zakończenie, w nagrodę rycerskich twoich czynów, życzę ci nowego Cerwantesa, a przynajmniej Praniewicza, i jak najprędzej miejsca w Apoteozie dynastyi.

Datowano na Mamartr.

Przypisek. Czy niebyłoby dobrze pospieszyć z ogłoszeniem dowodów, że większość emigracji jest moskiewska. Możeby to prędzej ją zniszczyło, jak przypiekanie wolnym ogniem, a ważne jest pod wielu względami. Nadto wielu temu niewierzy i trudno ich przekonać że nieklamiesz. Obejrzyj to twoją czczorską mądrością.

ROZMAITOŚCI.

W tej chwili czytamy ciekawy rękopis. Jestto bardzo trafne i bardzo loiczne usprawiedliwienie pryncypium dynastycznego. Tytuł jego: *Porównanie między Czartoryskim naturalnym naczelnikiem emigracji, a naturalną potrzebą człowieka*. — Osnowa zaś następująca: Emigracja jest osobą jak człowiek, ma więc jak człowiek, swoje naturalne potrzeby; kiedy naturalna potrzeba przyciśnie człowieka, to dopóty mu dokucza, aż się jej niepozbedzie. Czartoryski jest tą naturalną dynastyków potrzebą; musiał zaś im kaducznie już dokuczyć, kiedy odsuwając na boki wstyd i skromność, tę swoją naturalną potrzebę na publicznem miejscu złożył.

— Redakcja *Trzeciego-Maja* ma być tak zavalona nadsyłanemi jej artykułami, że ich wydrukować niemoże. Nic dziwnego. O cóż łatwiej jak o śmiecie?...

— Pytał jeden drugiego: Wytlumacz mi, proszę, jak można być tak głupim jak jest stronnictwo dynastyczne?... Zapytany odpowiedział: Jestto bezdeń, której nikt niezgruntuje.

— Bimbasza Dembiński ruszył konceptem i posłał w liście kawalek kiją pewnemu demokraci. Przysłowie: *Wart Pac pałac a pałac Paca*, jako zbyt spowzedniałe, może być teraz zastąpione nowem: *Wart kij bimbaszy a bimbasza kiją*.

— W tym roku nieobchodzono przecie w Paryżu — rocznicy powstania ziem litewskich i ruskich; a więc na ten raz przy najmniej skłamało przysłowie: *że i w Paryżu niezrobią z owsa ryżu*.

— Sękowski pod nazwiskiem Brambeusa wysmiewa Polskę i emigrację — powiada nam o tém *Trzeci-Maj i Młoda-Polska*. Kociół garnkowi przymawia a obydwaj smolą. Cała różnica że tamten wysmiewa Polskę słowami, a ci czynami urągają narodowemu rozsądkowi.

— *Orzeł-biały* sadi się jak może na szkalowanie domokratów. Trzeba przyznać że wybornie pełni misję *Zjednoczenia*.

— Kilka gmin *Zjednoczenia* oskarżyło kom. kor. o jakieś tam intrygi i szachrajstwa. Kom. kor. w tłumaczeniu swoim powiada: że to nie ona ale jej członkowie szachrują. Proszę jednak, jak ci dyplomaci zręcznie wykręcać się umieją!...

— Niedziw że p. Ludwik Miłkowski jest wielkim znawcą mitologii sławiańskiej, bo ma *Świstum-Poswistum* w głowie.

— Pan Miłkowski powiada, że broszurka p. Ordegi dla te-

go niepodobała się demokratom że ich przerażają wyrazy: *moralność — poświęcenie — zapomnienie o sobie*. Niechże będzie i prawda, ale ci co znają przeszłość p. Milkowskiego radziby wiedzieć, od jakiego to czasu p. Milkowski nieprzerazą się temi wyrazami?...

— Emigracya skapcała, mówił pewien polityk na pewnym zgromadzeniu; ktoś z obecnych chciał stanąć w obronie emigracyi, ale odstąpił głosu, kiedy go objaśniono że szanowny preopinant bierze jedność za całość, czyli siebie za emigracyę całą.

— Przed niedawnym czasem przeciągnął przez nasz zakład pewien koncercista emigracyjny i dał się słyszeć na *salonach polskich* z takim zadowoleniem, że od tego czasu uorganizowało się kompletnie towarzystwo *koncercistów w swoim rodzaju*, którzy po całych nocach grają — w faraona. No! to już podobno niema we Francyi i jednego rzemiosła w którymby się emigracya niećwiczyła.

LOGOGRYF.

Co też nasz Logogryf znaczy?..
Niech czytelnik wytłumaczy.
Znajdziesz w nim nagrodę zdrajców (stryczki)
I czem płacą winowajców, (kara)
I czem się zbroją rycerze, (kirys)
I na wstecz chodzące zwierze, (rak)
I co ogień zwykłe nieci, (iskra)
I w co wierzą, baby, dzieci, (czary)
Wreszcie Kiejstuta siedlisko, (Troki)
I złego ducha nazwisko. (czart)
Ale kiedy zbierzesz razem
Wszystkie te sprzeczne znaczenia,
I pomyślisz nad wyrazem,
I zapytasz się sumienia
Co dla nas to słowo znaczy?...
Ile żalu i rozpacz,
Kłesk, strat, zdrady i niewoli,
Hańby, nędzy, co nas boli,
Na głębi tego imienia?...
Poznasz że to niedołęga
Przewodzący lotrów kacie,
Co po tron babiński sięga.
A choć liter jedenaście
Ma mieć to przekłete słowo;
Gdy je obejrzyś na nowo,
I wszystkie skupisz litery,
Będziesz miał 44.

Literatura.

Trzeci oddział Poezyi *Severyna Goszczyńskiego* jest już przygotowany do druku. Jeżeli oddział pierwszy malując uczucia przedrewolucyjnego konspiratora, drugi przedstawiając najpamiętniejszą epokę życia narodu naszego, poruszył do żywego serca miłością i wolnością bijące, tedy ten oddział trzeci, jako wzniosły obraz duszy tułacza, a przeto najbliższy obecnego położenia naszego dotyczący, zachwycać i czarować musi. Szczytność i wzniosłość poezyi, wdzięk i urok wyślowień, żywość barw i opisu którymi się odznaczają wszystkie poezye Goszczyńskiego, są tą razą jak gwiazdy przy słońcu wiary, prawdy i uczucia którymi dusza poety goreje. Miło nam, że zanim nowy ten utwór poety-tułacza w całości czytelników naszych dojdzie, możemy im następujący udzielić wyjątek.

MUZYKA WIECZORNA

W KRAKOWIE.

Zachodni obłok już słońce ogarnia,
Dnia gasnącego ostatni płomyczek,
Pozaczepiany u Maryi wieżyczek,
Połyska jeszcze jak morska latarnia,
Jak flaga blasku przed ciemności nawą,
Na której wieczór młodzieńczego maja
Żegluję w przystań krakowego grodu.
Pas topolowy i cienia i chłodu,

Co serce miasta dokoła ogaja,
Roi się ludem, wre swobodną wrzawą.
Słychać przegrywkę do pieśni dziekczynnej
Dla wiosny polskiej, dla wiosny rodzinnej,
Że przez jej twórcze, dobroczynne dziwy,
Na nowo polskie zmartwychwstały niwy.
I oto naraz zabrzmiała pieśń pełna,
Lud się poruszył jak morskich wód welna:
Pod ową polską, wojenną muzyką
Pocziwe lice ludu zapalało
Życiem pół-polskiem, radością pół-dziką,
I wnet wir tańców porwał rzeszę całą.
Ciesz się motłochu!

A z boków obrazu;

Jak ogrodowe posągi z głazu
Stoi tłum inny, tłum w szatach świetnych.
Jego lic radość ludu niekała:
Niemy, pół-skryty, trzyma się zdala.
Ten drugi motłoch, to motłoch szlachetnych.
Skończone granie, bębny zawrzały,
I jakby jedna bojowa dusza
Weszła w tłum cały, pełnęła tłum cały,
Cały tłum krokiem bojowym rusza.
Jak się tu oprzeć tej żywej fali!
Porwany spomnień i przeczuć szaleem,
Sercem i nogą jej się poddałem.
Płynąłem z tłumem duszą i ciałem,
Panowie zostali.

Do mnie tu, bracie góralu!
Do mnie tu, bracie kowalu!
Do mnie tu, barki żelazne,
Czerstwe myśli, dusze różne,
Serea wiary, boju pięście,
Oblicza surowe cnota,
Biédnym odzieniem holoto,
Przeszła wielkość, przyszłe szczęście,
Do mnie tu, ludu serdeczny!
Ja brat tobie, ja twój wieczny.
Stańmy o tak! bok przy boku,
Idźmy o tak! krok do kroku,
Tylko razem, tylko zgodnie,
A gdzie zechcemy, znajdziem niezawodnie,
Panowie niech stoja.

Panowie z nami złączyć się boja.
Oni się wstydzą pomieszać z nami,
Ich suknie krwawy pot ludu plami,
Ten okrzyk ludu bijący ku niebu
Skamienialemu ich sercu nieluby.
Oni w nim słyszą okłask przyszłej zguby,
Straszne podzwonne swojego pogrzebu.
Chodźmy więc sami, własną mocni siłą!
Cztery lat temu kilkuset nas było,
Co z taką wiarą, z taką bębna wrzawą,
I takim krokiem poszliśmy tak żwawo;
I tych kilkuset cały czas zmieniło.
Tylko tłum ludu, tylko tłum dzieci
Leciał za nami, jak dzisiaj leci,
Panowie wówczas jak w tej oto chwili,
Oczy i kroki od nas odwrócili.
I dzisiaj stoja, jak wtedy stali,
My idźmy dalej.

1 maja 1835 roku — Kraków.

Z kilku miejsc odebraliśmy zażalenia że niewszystkie pół-arkusze pisma naszego dochodzą prenumeratorów. Oświadczamy że Redakcyja najregularniej pismo swoje ekspedjuje, że więc ilekroć podobny nieporządek ma miejsce, wina w tém poczty, lub jeżeli podejrzawać wolno, że ktoś nieproszony w odebraniu pisma wywręcza prenumeratora.

ZŁOTA CHORAGIEW

CZYLI

PIERWSZY ZASTĘP JMci KRÓLA DE FACTO.



GŁÓP polski niebył astronomem, nieczytał kalendarza, ale kiedy widział że kury do poźna się włóczyły, a byk gwałtem do obory się tłoczył, niewątpił że się na słotę zabiera;—niebył politykiem, nieczytał gazety, ale kiedy zasłyszal że tchórze o świętą chorągwi gwarzą, zaraz sobie wojnę szlachecką rokował. Jeżeli tak, to szanowni babiniczcy gotujcie się do boju, bo oto o złotą chorągwi wieść biegać zaczyna, a są nawet tacy, co już ją widzieli powiewającą nad emigracyjnym pałacem Jego Mości Króla Babińskiego a na niej błyskał napis: *Pod twoją obronę uciekamy się i t. d.*

Ale zaszczyt służenia pod tą świętą chorągwią nie wszystkim dozwolony; są warunki nieodparte, które, by kto z emigracyjnej gawiedzi o ten honor daremnie się niekuśił, wszem w obec i każdemu z osobna, niniejszem się ogłasza.

A naprzód okazać i udowodnić należy:

- 1° Że się jest czystej i niepokalaniej rasy szlacheckiej, to jest szlachcicem ze wszystkimi przymiotami i narowami szlacheństwa.
- 2° Że się na emigracji niebyło szewcem, krawcem, rymarzem, ślusarzem; zgoła tém wszystkiem co klejnot szlachecki kala.
- 3° Że się jest najzupełniejszego przekonania że książę Adam jest królem *de facto*.
- 4° Że się przestaje na takim królestwie jakie sobie książę Adam wymarzył.
- 5° Że się *wyrzeka sumienia* i wszystkich spraw jego.

ATRYBUCYE LEGII:

- 1° Bronić prawa i wszystkich pretensji do korony Najjaśniejszego pretendenta.
- 2° Pilnować bagażów, kuchni, piwnicy i wszelkich mobilijów które Jego Królewskiej Mości Pretendenta są.
- 3° Rwać się odważnie do odkorkowywania butelek, do krajania pieczeni, i do wszelkich dziennych i nocnych posług, artykułami służby pieczeniarskiej objętych.
- 4° Trzymać się ciągle przynajmniej na dobrych mil pięćdziesiąt od pola bitwy, to jest służyć za eskortę świętej i nieetykalnej osoby Jmci Króla *de facto*.
- 5° Sieć i rąbać nieprzyjaciela po oberżach, kawiarniach, bilardach, szynkowniach i wszelkich domach publicznych.
- 6° Wszędzie i zawsze być gotowym do *układów* z nieprzyjacielem.
- 7° O Polityce nierozumować nigdy.

PROKLAMACYA Jmci Księdza Prymasa, w imieniu Najjaśniejszego Jmci Króla *de facto*:

Czartoryski na tron jedzie,
I chorągwią złotą błyska,
Więc kto szlachtą się wywiedzie,
Locum fluxum wnet pozyska.

Tak Potocki w Targowicy
Stroił pułki dla Carycy.

WOJNA PAPIEROWA

CZYLI

MOJE WIDZENIE W PEWNEJ BIBLIJOTECE.

(Artykuł nadesłany).

Każdy wiek ma swoją cechę, czyli coś, co go od innych odróżnia, nasz XIX, kto wie, czy niepowinienby się nazywać wiekiem *wojny papierowej*. Bo i proszę uniżenie, przebieżmy wszystkie tegoczesne dzienniki, a azaliż każda z ich stronnie, wiersz każdy, nie jest polem bitwy? Ku poparciu mego twierdzenia, mógłbym łatwo przywołać tysiąc dowodów i starszych i młodszych, lecz że nie lubię powtarzać rzeczy wiadomych, i co za tém idzie nadużywać cierpliwości poczytnych czytelników,

pomijam więc i onę burzę belgijską, i owe strachy szwajcarskie, i terazniejszą nawet, ciemną jak tabaka w rogu a jasną jak słońce na niebie, sprawę turecko-egipską czy angielsko-francuską, a opowiem zdarzenie, które jako czysto-emigracyjne, nasze własne, rodzinne, i wody niezamąci nikomu i twierdzeniu memu większej może nad wszystko inne dodać powagi.

Przedewszystkiem trzeba wam wiedzieć, że żyję w Paryżu z pracy rąk własnych, że więc, rzecz oczywista, wieczorem tylko wolno mi wyjrzeć na świat z za mojego warstatu i dowiedzieć się co tam słychać. Pewnego z takich wieczorów, spotykam gromadę naszego brata, i wśród pogadanki to o tém to o owém, dowiaduję się, że tak zwana *biblijoteka polska przy ulicy Surenbskiej* jest i wieczorem otwartą. No pomyślałem sobie, po skromnym moim obiedzie stosowniej pono będzie posiedzieć, jak przechadzką dopomagać strawności, a przytém niezawadzi, skoro się sposobność zdarza, coś też sobie przeczytać. Więc żegnając, i po niedługiej chwili jestem u podługnego stołu, zielonem przykrytego sukniem, na którym leżało mnóstwo dzienników rozmaitemi pisanych językami, oraz niemało broszur i i dzieł różnego wymiaru i wielkości. Coby tu czytać?... Ej, zawsze jedno i jedno, to znudzi; więc zamiast serce zakrawać opisami naszej albo czyjejś niedoli, wzięła mnie chęt z dociepnyim Krasickim wieczór ten przepędzić, i skłoniwszy się obecnemu tam i jednemu podonczas dozorcy, poprosiłem o *Satyry Krasickiego*.—Pan wybacz, rzecze mi cedząc przez zęby, ale książki chcąc mieć wieczorem, trzeba je w dzień zamówić.—Masz tobie, to tu widzę książki jak buty obstarowywać potrzeba. Proszę, przekładam, przedstawiam że ja mieszkam daleko, że umyślnie dla *Satyry Krasickiego* tak odległą drogę zrobiłem, że cały dzień przy warstacie zatrudniony jestem... Gdzie tam?... wszystko jak groch na ścianę.—Takie prawo, powiada, ja prawa łamać niemogę.—Obaczmy czy prawda, ja tu się przecie kogoś doczekam, zasiadłem więc przy stole i wjąwszy pierwszy-lepszy dziennik do ręki, czytać poczęłem. Czytam—czytam, siedzę—siedzę, nikt nieprzychodzi. Obejrząc się do koła, aż i pan dozorca wyszedł gdzieś sobie. Przywykłego do towarzystwa nudzi samotność, bronię się nudom jak mogę, ale litera coraz bardziej zaczynają mi się dwoić, majaczyc; nareszcie, wybacząc wyrobnikowi, zadrzemałem na piękne. Tymczasem, wystawcie sobie, co za dziwo!... Oto wszystkie leżące na stole dzienniki, ba, broszury i książki nawet, oblekają się w żyjące postacie, stroje i barwy sobie właściwe. Niedosć na tém; ściana sąsiednia niknie jak mgła i daje przystęp niezliczonej czeredzie tam z pulek i szaf dobywających się istot.

Nasamprzód *Trzeci-Maj* roztasował się we środku, jak kupiec na kermaszu, zalecający swoje tuzinkowe towary przechodniom; głowę miał z klepek, jedną brakowało klepki; na piersiach gwiazdy, krzyże, wstęgi, nawet szkaplerze; po szwach sukien burty, na guzikach herby, przy boku *szablisko* i ów sławny kij dziadowski ze skórą jeża, a z pod sukni wyglądał *nahaj*—godło pańszczyzny, i *dziurawy worek*—symbol nienasyconej chciwości szlacheckiej. Dziwnaczem, bo kozacko-jezuickim, a na wpół-urzędowym językiem starał się pochlebiać stronnictwom, kastom, ludziom pojedynczym, wszystko wszystkim obiecując, by wszystko sobie zagarnąć. Uważałem że często zbliżał się do *Rządowej-Gazety-Pruskiej* i coś z nią na ucho o *Poznańskim Tygodniku* rozmawiał. W jednej ręce trzymał ogromną sieć, którą zwał *strategiczną*, ale to po prostu była sieć na gapie; na dłoni zaś drugiej ręki nosił tron wyrobiony z papieru, a na nim siedział człowieczek ze słomy, w koronie z baniek mydlanych, z podpisem u dołu: Adam I, Król Polski, Wielki Książę Litewski, a którego *Trzeci-Maj* wszystkim zalecał, jako najlepsze i jedyne lekarstwo do zbawienia Polski. Jak zaczął prawić o powstaniu, wielu ciekawych nadstawiło ucha; byli nawet tacy, którzy go za olbrzymą mieli, ale spojrzą na nogi, ażci słabiuteńkie jak słomki, zajrzą do serca, a tam pycha i osobisty interes, do głowy a tam wiatr świeższy jak po pustej stodole. O kuglarzu! krzyknął tłumem nagle. Skończyło się żniwo twoje!... Do razu mówią sztuka, niezwiedziesz już więcej. Precz oszuście!... Za drzwi!... Na latarnię!...

Tuż przy *Trzecim-Maju* włóczyła się stara, ślepa, garbata, kulawa, i niesłychanie gruba jejmość. Ta zaszedłszy w ciążę od lat wielu, w żaden sposób płodu porodzić nie mogła. Trzeba było aż do operacyi się uciec, którą odbyto za pomocą instrumentu zwanego: *Rzecz o Dynastji*. Pológ nastąpił, ale go nieboraczka przypłaciła życiem. Tu wszelakoż, że to się po czarodziejsku rzecz miała, choć nieboszczka, jako upiór przybyła. Niemilo jej wszakże być musiało, bo wszyscy, a nawet sam *Trzeci-Maj* palcem ją wytykali, te tylko treściwe, zapewne na uragowisko wymawiając słowo: *Kronika!!!*

Po drugiej stronie *Trzeciego-Maja* szeptała koronki do blo-

gosławionej Galicyi, swojej opiekunki i orędowniczki, osoba w surowym stroju, chuda, wysmukła, blada, wypłowiała, z oczami zamglonemi, jakby pod pokutą za ciężkie jakieś grzechy upadająca. Postawa jej, wszystkie ruchy i zachowanie się w zgromadzeniu przedstawiały mieszaninę duchownych i świeckich nałogów i zdrożności. Jedni mówili że zbyt nie rozpiętywanie grzechów, obkleiło ją w tę ekliwą i rażącą ponurość; inni utrzymywali że pod maską pokuty i skruchy, ukrywała najchytrzejszą obłudę, próżność, dumę, egoizm i wszystkie szkarady, które na *Trzeci-Maj* tak surowo obecnych oburzały. Uważałem, że ciągle miała obie ręce włożone w rękawy, obyczajem mnichów, tak właśnie, jak on jezuita, któremu gdy kazano wykonać przysięgę, czy złodziej ścigany, a który z nim dopierutemko rozmawiał, nieszedł tedy?... ten zadziwiony ręce w rękawy przysięgał «jako złodziej nieszedł tedy» w myśli wprzód uczyniwszy zastrzeżenie, że nieszedł przez rękaw, w którym w tej chwili palcem wskazicielem wskazywał. Dziwną tę osobę mianowano *Młoda-Polską*, zapewne na urągawisko i pośmiech, bo i niemłodo wyglądała i w starych kochała się nałogach i nikt do niej się nie zbliżał ani z nią rozmawiał. Była więc tam jak stara panna na balu, której na ostateczną jej zgryzotę i umartwienie nikt do tańca nie bierze.

Gdy się tym dziwnym istotom z ciekawością przypatruję, powstał nagle po całej sali ruch niezwyklej, podobny owemu, kiedy wśród ludzi czysto i porządku przybranych, wpadnie kominiarz i brutalsko pecha się przez tłumy, a każdy z obawy, aby dotknąć się brudu niebyleż zwałany, zmyka co tchu na stronę. Nie trzeba wam mówić, że niecierpliwie czekałem wyjaśnienia przyczyny tego zgiełku. Jakoż wkrótce stało się zadość mojej ciekawości, bo gwałtownie roztępujące się tłumy utworzyły szpal, w głębi którego postrzegłem coś podobnego do człowieka czy diabła, nie wiem, bo tak szybko wykręcającego się młynem, że to raczej za kłęb dymu albo trąbę powietrzną, aniżeli za istotę ludzką wjąć można było. Dziwny ten potwór otaczały jak satelity, psiaczki rozmaitej rasy, między którymi odznaczały się szczególnie kurty, mopsy i szpiczaki, a które on nazywał *szanownymi*. Ostróżność była naturalną i konieczną potrzebą, ale niewszyskim pomogła, bo ci co bliżej byli, brudem obrzuceni zostali. Gniew i oburzenie były powszechne. Wtem naraz dał się słyszeć wrzask przeraźliwy, jak krzyk osła lub cielęcia gdy się w paszczę wilka dostanie. Był to krzyk biednej staruszki *Kroniki*, która, czy to jak zwykle babulka, ciekawa zobaczyć co tam się kręci, zanadto się zbliżyła, czy też że osłabiona wiekiem i nierządnym życiem zamlodła, nie mogła się oprzeć napaści. Leżała jak długa rozciągnięta na ziemi, a on diabeł czy człowiek pastwił się nad niedolęzną babką i to ją gniołł i deptał nogami, to znów wychudłe jej boki smagał biczem okrutnie. Dziwiło mię, że nikt z obecnych nie bronił biednej staruszki, ale owszem stąd i zowad słyhać było głosy: Dobrze tak babinie, własną jej odmierz na miarę!... A tymczasem babina w niebogłosy krzyczała: Zdrójca, niewiedzielnik!... liżał mi się i służył kiedym była w sile i znaczeniu, a teraz, kiedy pod ciężarem trudu i wieku upadam, pastwi się nademną nikczemnik. Biada, biada tym, którzy mu zawierzą!... Puścił wreszcie babinę neliłościwy oprawca i znów jak wprzód młynem kręcić się począł. Ale wkrótce wysunął się z tłumu jakiś dziarski, rzeźwy, i dobrze zbudowany młodzieniec, a zbliżając się do człowieka czy diabła: —Kto ty jesteś?... grzmiącym głosem zapytał. Stał w miejscu jak wryty i zmierzyszy od stop do głowy śmiał się, spuścił na le z tonu i schylając pokornie głowę: —Ja jestem, rzeczce, najniższy sługa i podnóżek twój. —Nikczemnyś, odrzekł mu młodzian, niema w tobie sumienia, ale sprawie usłużyć możesz, masz u mnie służbę, jeśli ci się podoba. Potwór on, na znak zgody, trzykroć aż do ziemi schylił przed młodzianem głowę, i szedł za nim z postawą tak pokorną i skromną, że się wszyscy dziwowali, że ten co przed chwilą wszystkich tłukł i potraçał, teraz jak baranek zlagodniał. Ale gdy przechodził koło mnie, dosłyszałem, że mruczał sobie pod nosem: —Zuchwalec, śmiał mię nawzać nikczemnym, odpłacę mu to wkrótce i z lichwą. Jakoż zaledwo parę kroków z sobą zrobili, wszczęła się między nimi zażarta bójka; młodzian bił w potwór razami dzielnej prawicy, a potwór ział mu w oczy brudami swych wnętrzności i szkalował najbezpieczniejszymi słowami. Wszakże niedługo była walka, potwór padł pokotem u nóg młodziana, a zewsząd podniosły się głosy: —Falszywa to *Nowa-Polska*!... Precz z nauczycielem bez sumienia i wiary!... Górą pocziwa sprawa!... Górą *Demokrata-Polski*!...

Dobrze to nauka, pomyślałem sobie, i byłbym się już o moją głowę zakładał, że nikt z tego tłumu obecnych nie zada się z potworem, gdy w tej samej właśnie chwili, postrzegam jakąś dobroduśną istotę, brat za brat prowadzącą się z nim pod rę-

kę. Był to także młodzieniec pięknej i przyjemnej postawy, ale w twarzy jego i w ruchach było coś niepewnego, dwuznacznego, obłąkanego, a gdy mówił, jękał się i zaciął. Uważałem także, że często oczy przymrużał, śnać miał wzrok krótki. Młodzieniec ten każdego, kogo tylko napotkał, czy był czysty i pocziwy, czy nikczemny i brudny, chwycił po kolei za ręce i ścisnął serdecznie, dodając z przymileniem: kochajmy się bracie!... Miał on na sobie sukmanę chłopską; ale mówiono, że gdy się czasem nieostrożnie wykręcił, wystawał z pod niej kontusz szlachecki. *Orzeł-biały* błyskał mu na piersiach, a niewiedziało nieborak, że ktoś mu na plecach przypiął wizerunek *osła*. Kilku, dobrych zapewne przyjaciół, przestrzegało go o tym żarciku i zwracało razem uwagę, że młodzieńcowi z takim godłem na piersiach, raczej iść naprzód z bracią pocziwą, niżeli się wleć z tyłu wypada, ale nadaremnie, bo ten co miał mu w przykręj podróży służyć za mentora i przewodnika, napotkawszy po drodze worek starych pieniędzy, cały się w nich zatopił, a tymczasem pupil blakający się samopas, w brzydkie nareszcie wdał się towarzystwo. Miałem chęć szczerą widzieć go raz jeszcze, ale znikł w tłumie różnobarwnej gawiedzi, a powinienby postrzedz się w błędzie, bo kiedy tylko przechodził, wolano nań głośno: Wyjdiesz jak Zabłocki na mydle!...

Gdy się ta scena skończyła, zdała, na stronie, jakby w mglistych tumanach, dostrzegłem dorodnego mężczyznę. Mało mówił, ale jasno i dobitnie. Szczególniejsze miał upodobanie rozprawiać o przeszłości, ale i o nowych rzeczach zdrowo rozumował a zawsze bez ogródki ciął prawdę, chociaż ci co go otaczali, sykali nań i zemstą nawet grozili. Akcent miał trochę wielkopolski, ale zresztą wcale się udał.

Tu i ówdzie po tej rozwiniętej przestrzeni waleś się to *Dziennik-Petersburski* we fraku szambelańskim, zawsze z francuzką gładko kłamiącą, to *Tygodnik-Petersburski* w mawiający gwałtem przechodniom, że jest urzędowym pismem królestwa polskiego, to *Gazeta-poranna* i *Korespondent*, odpuszc im panie!... to jacyś *Rusini*, *Haliczanie*, *Krakowiaczy*, i *Litwini*, którym w cizbie przypatrzeć się dobrze nie mogłem.

Gazeta-augsburska, *Dziennik-frankfurcki*, *Korespondent-hamburski*, ta w szlafroku austriackim, ten z cybuchem burztynowym danym w prezencie przez Mikołaja, ten w pantoflach nieboszczyka Frydrycha, popijały sobie bez ceremonii herbatkę, osłodzoną cukrem z buraków niemieckich a zgotowaną na sycylijskiej siarce; kłęby dymu tureckiego z ich stambułów głowę Jbrahima wyobrażających, ku sufitom się wzbijały. Żwawa była między nimi utarczka — o system cel pruskich i o formę guzików w kamaszach pruskiej piechoty.

Dalej kręcił się *Dziennik-sporów* jak chorągiewka na dachu; *Postanowiecie* siedział w karle rozarty i dumal nad przyczynami niepowodzenia swjej sztuki: *Szkółka-swiata*. Stara, na podagrę cierpiąca *Gazeta-codzienna* i skwaszona *Gazeta-francuzka* rozczulały się marząc o przeszłości. *Narodowiec* z *Wiekem* rozprawiali gorąco o istocie ducha, a *Szarytary* i *Korasz*, to tego, to owego podcinałi bieżykami do wciupki. Inne facjaty francuzkie i angielskie bredziły po swojemu, każda patrząc przez swoje tylko okulary na świat i podług siebie go ceniąc. Nie miałem ochoty przypatrywać się długo tym cudzoziemcom.

W tłumie tych dziwnego rodzaju i nabożeństwa istot, ślaniały się także nieprzeliczone cienkie i grube, płaskie i pękate, tłuste i chude, niezgrabne i zgrabne książki i broszury, w liberych rozmaitej barwy. Romanse w pasterskich strojach lub w tegoczesnego kroju podkasanych sukniach, często z rozczuchraną czupryną, ze wzrokiem obłąkanym, z ułożeniem i wysłowieniem karczemnym, jeżeli niegorszym jeszcze, wiodły nas świat bohaterów i bohaterki z wiezień kryminalnych, lub odsłaniały brudne firanki prywatnego łoża. Mimo nich przebiegały, niezostawiając żadnego śladu po sobie, powieści pseudo-historyczne w ubiorach nibyto staroświeckich, ale których krój i barwa tak wyglądały, jakby były wzięte z tandety lub z pleców cudzych. Uważałem, że kiedy kilka podobnych, z mładowska po kozacku przystrojonych na salę weszło, *Pojata*, bardzo przyjemna Litwineczka, z uśmiechem je pokazywała staremu jakiemuś mężowi, który za największą miał rozkosz opowiadać otaczającym go, gry, zabawy, tańce, ubiory i zwyczaje przodków naszych, i pytała czy niepoznaje skąd te suknie pożyczono?... Przeciskały się też niekiedy przez te zgryje uczonych, napuszone w doktorskich czapkach rozprawy; jedna z nich osobiście pocieszną się zdawała, mówiono że pochodzi ze składu szkolnych okupacji pałacu Kaźmirowskiego, a przypięto do niej dla igraszki, jakieś tam potwierdzające się odwołanie podpisu przeciw Księciu-Panu.... Jakiś znowu jegomość zbliżał się do wszystkich i uprzejmie podając rękę mówił: *Vade-mecum*, ale mnóstwo odwracając się odpowiadało: *Vade-*

retro Przeglądy rozmawiały sobie poważnie na stronie ze starymi jakimś, w skóry i pargaminy postrójonymi matronami w robronach, lub z sędziwymi prawozbiorami. Tu znowu jaęś trefnisie, mieniący się dziećmi dobrego domu, roznosili składowane gwałtem po polsku i francuzku rymy; dziwnie tęto nazywali oni te swoje exercycye i koncepta. Winnę stronie jakiś młodzieniec, wracający zapewne z maskarady, na wpół w sutannie, na wpół we fraku, chwytając za guziki słuchaczy i zapewniając że niemarzy o infule biskupiej, kwilił im swoje *wspomnienia*. Gdzieindziej inny znowu rozprawiał o *Białorusi*, ale wszystko co o niej mówił, tak było czeze, błahe i nie nieznaczące, że równie do słońca i księżyca jak do Białorusi zastosowały się dało; szczególniejsze miał on też upodobanie kłaniać się i podchlebiać jakiemuś zawiędemu jegomości, który w minie i w ruchach przedstawiał najdoskonalszy egzemplarz wykpięrosza, a którego młodzieniec tytułował lektorem towarzystwa literackiego, inni zaś expretendentem redakcyi gazety przez nieboszczyka cesarza Alexandra proponowanej. *Polska malownicza i ozdobnicza* suwały się poważnie jak jendory; obie miały na sobie szale pięknymi litografijami ozdobne i suknie z nieskończonym dotąd ogonem, przy boku zaś zwiedle bukiety z sentymentalnokliwych powiastek i bajek *à la charlatano*. Obie unikały widocznie spotkania się, a jeżeli zeszły się przypadkiem, odgrażały sobie nawzajem, nieszczędną przytem pantomin i wyrażen, na jakie się tylko warszawskie przekupki zdobyć mogą.

Ale co mnie ubawiło serdecznie, to następujący wypadek. Po między tymi który tam po raz pierwszy wchodzili, był jeden, co prawda *O narodowości-polskiej*. Miał na sobie sutannę, którą biuszezanką nazywał. *Trzeci-Maj* i *Młoda-Polska* skoro go spostrzegły, z kopyta rzucili się ku niemu, a wzięwszy go pod obie ręce, nuż obecnym przedstawiać, zalecać, chwalić, rekomendować jako swego bliskiego krewnego, ten zaś wyrwał się z całej siły z tych nieproszonych pieścót, wołając: że ani ich krewny, ani powinowaty; ale daremnie, im się on bardziej wypierał, tém one bardziej obstawały przy swoim, a wszyscy zanosili się od śmiechu. Jeszczeby to było pół śmiechu, gdyby się na tém skończyło; ale właśnie gdy się to dzieje, przechodził tamtędy *Demokrata-Polski*. Biuszezanin obces do niego, i kłania się i wita serdecznie, nazywając go krewnym, ba, nawet rodzoniućkim bratem swoim. *Demokrata* spojrział surowo, i wyrzekłszy tylko treściwe: *Jesteś w błędzie*, odwrócił się i poszedł w swoją drogę. Śmiech powstał powszechny, na całą, jak to mówią gębę, a zamienił się w serdeczny, kiedy *Nowa-Polska*, wyrwawszy się ni stąd ni z owąd, dopadła biednego biuszezanina i to go głaskać jadaszowską ręką pod brodę, to go pieścić i całować skalanemi usty poczęła.

Wszystkie luki salonu zapelniała jakaś drobna, szaro-bura i żółto-zielona czereda, miotająca żółcią zazdrości lub zemsty. Nie miałem chęci przypatrywać się jej zbliska, i wołałem już nad to paskudztwo, piękne eleganterki w atlasowych sukienkach, co w czasie ostatniej komedyi na korzyść Czartoryskich, za afiszę służyły. Wszystkie siedziały na złocistych taborecikach, kosztem żebraniny na *biednych emigrantów* sprawione, a na czele ich jaśniała *Pani Uwaga uszną i wiążaną mową*.

Szmer był i hałas nie lada, przecież lubo spór był powszechny, szło wszystko jak z płatka. Każdy rad był z siebie przynajmniej i prawil swoje. W tém otwarły się drzwi z trzaskiem i wszedł rubaszny staruszek w staropolskim kabacie, z podgoloną czupryną, z ostrą, upór przy swoim zapowiadającą twarzą a uszczypliwym uśmiechem na ustach. Miał w ręku ogromną plikę druków i zaraz zaczął je kolejno rozdawać, temu *Uniwersał Konwokacyjny*, owemu *Oslarnie królewskie*, innemu *Akt konfederatów dynastycznych*, *Babin tryumfujący*, *Machijawela*, *Walenrodomanije*, i t. d. *Młodej-Polsce* dostało się *Kazanie polskie na kazanie rzymskie*, *Trzeciemu-Majowi* sprawdzenie przysłowia *Jaki pan taki sługa*, innym *Uprzejme rady o amnestyi moskiewskiej*, a wszystkim bez wyjątku różne pocieszne komedyjki i baraszek bez liku. Zrazu przytłumione zaczęły się szmery, szepty półgębkiem lub całkiem na ucho. *Młoda-Polska* spuszczać oczy, z pokorą rzekła do *Trzeciego Maja*: Azaliż godzi się śmiać w naszym położeniu? Azaliż godzi się szydzić?... *Trzeci-Maj* dotknięty do żywego zaczął głośnieć poduszczać sąsiadów: Kto tego starucha tu wpuścił?... Kto go rodzi?... Czém się pieczętuje?... Niema dla niego miejsca w naszym dobranym towarzystwie!... Precz go wygonić.—To lotr jakiś, rzecze jeden.—To zapłacony od wrogów, rzecze drugi.—On niegodzi się, na naszego księcia, na naszego króla *de facto* śmie się porywać, wrzeszczała *Pani-Uwaga*. Oburzenie było powszechne, już nawet ci i owi zbierali się w kupki, by wspólnymi siłami na staruszkę uderzyć, kiedy ten śmiało stając w miejscu, rozpiął nagle kontusz i rozwinął sztandar republikancki. Na ten widok pomieszały się szyki sprzymierzo-

nych. Wielu zaczęło wołać, że się miejsce staremu między dziennikami tak dobrze jak każdemu innemu należy, że lubo uszczypliwie i ostro ale prawdę mówi, że to u nas nie nowina sztyderstwem walczyć przesady i złą wolę, że to broń często niezbędna i jedyna, że nikt go wreszcie nieślyszal sztydzącego z miłości ojczyzny, z poświęcenia, z narodu, z praw jego ludu, z czystych, z wzniosłych religijnych uczuć. *Trzeci-Maj* rozjątrzony że w tym kącie nie niedokazał, ruszył w drugi, ale tam, jak na przekorę trafił na *Demokratę*, który z wielu innymi, nawet *jednoczycielami*, trzymał *Pszonki* stronę.... Niewiem co dalej się stało, bo kiedy hałas w najlepsze się poczynął, chwycił mnie ktoś za ramię, ocknałem się; zegar bił godzinę dziesiątą, a dozorca zabierał się do zgaszania ostatniej świeczki. Wyszedłem.

BARASZKI.

Trzeci-Maj dziwi się, że o jego królu *de facto*, nikt z nim na seryo rozprawiać niechce; niejestże to zadziwienie dziecka, że się jego lalką starzy ludzie niebawią.

— Powiadają, że Czartoryski kupił sobie *trepkę*; miałooby to być coś lepszego od butów?

— Przysłowie: *Na pochyłe drzewo i kozy skaczą* śnać straciło swoje znaczenie, bo od czasu jakiegoś *Trzeci-Maj* na *Nationala* się zrywa.

— «Z kraju nikt takiej *pozycyi* niewyniosł jak Czartoryski» pisze *Trzeci-Maj*. To prawda! jeżeli przez *pozycję* mamy rozumieć główną przyczynę upadku ostatniego powstania Polski.

— *Trzeci-Maj* ogłasza, że jego hasłem jest *wiara i król*. A więc *Trzeci-Maj* nieróżni się w tym względzie od Moskala i Turka, z których, pierwszego hasłem jest: *wiara i car*, a drugiego: *wiara i sultan*.

— *Orzeł-biały* gniewa się na *Demokratę* za wyrażenie: *Zjednoczenie wnet zmarnieje*. *Orzeł-biały* gniewa się słusznie, bo należało powiedzieć: *Zjednoczenie już zmarniało*.

— Powiadają, że gdy Buchez dowiedział się że go p. Ludwik Miłkowski broni między Polakami, wpadł w smutek wielki. Przyczyna niewiadoma dotąd.

— Ktoś dziwił się, że broszura p. Ordegi podobała się *Nowej-Polsce*; śnać niewiedział, że się niepodobała Tow. Demokratycznemu.

— Bohdan Zaleski ma rozpocząć nareszcie druk poezyi swoich. Muszą to być *poezye ulotne*, bo przed sześciu laty było ich na sześć tomów, a teraz na dwa tylko.

ZAKŁAD BIBLIJOTEKI OSSOLINSKICH WE LWOWIE.

Komuż nieznane są dzieje wszystkich zakładów naukowych i bibliotek w Polsce? Ciemięży od pół wieku przeszło, istni Wandalowie i Omarowie, sprzysięgli się na zniszczenie naszych narodowych skarbów. Tak posła kiedyś sławna biblijoteka Załuskich, tak później Warszawsko - Uniwersytecka, Towarzystwa przyjaciół nauk, Krzemieniecka, Wileńska, tak rozszarpano zabytki Puławskie. Była to kolej nieuchronna jak każde pastwienie się dzikiego zwycięcy nad zwyciężonym. Jnna waszakże rzecz ma się z Galicyą, która przez ciąg podlegania austriackiemu domowi niczem nieprzewiniła, chyba tém jednem, że przeciw zaborem i tyranowi swojemu niepowstała dotąd, a jednak cierpi jak zbuntowany naród, i dostarcza ofiar Kufsztajnom i Szpilbergom, musi znosić nienawistny wpływ Jezuitów, i nieledwie co dzień robić jakąś nową ofiarę ze swojej narodowości. Krzyczącym gwałtem tego rodzaju jest cios zadany Zakładowi biblijoteki Ossolińskich. Uczony jęj fundator przewidując wieczny machijawelizm rządu Austriackiego wyrobił sobie różne przywileje u cesarza Franciszka; miały one zaslaniać biblijotekę od wszelkich napaści zdarzyć się mogących; bo wyraźnie zapewniali, że gdyby nawet osoby biblijotekę zarządzające, niewyjmując samego kuratora, w jaki bądź sposób skompromitowane zostały, Zakład biblijoteki w niczem odpo-

wiać niebędzie. Najlepszy dowód czym są wszystkie monarchów rękojmie, i jak dalece ufać im można, znajdziemy w historii tego nieszczęśliwego zakładu. W roku 1834, kiedy oddano pod sąd dyrektora biblioteki Słotwińskiego, obwinionego o tajemne druki, nastąpiło opieczowanie pras, wybranie książek niemających przyzwolenia cenzury, zamknięcie czytelní, rozpędzenie urzędników, i kłatwa rzucona nawet na gmach biblioteczny, który otoczono szpiegami.

Kurator książek Henryk Lubomirski nieumiał lub niechciał się postawić przy prawie; nastraszone, służył za narzędzie rozkazom prezydenta gubernialnego; nielepszą była i reszta opiekunów ze szlachty i magnatów, oraz ze stanów Galicyjskich, którzy dziś zakładowi na wolnym ogniu dogorywać pozwalają. Jeżeli przeto oburzył nas gwałt rządu, o ileż serce polskie krwawi niezacieka, gdy wspomni na publiczne niedbalstwo lub tajemne bezprawia, jakich się teraznijsi, tak zwani znakomici mężowie w *obywatelstwie*, mający obowiązek czuwać nad zakładem codziennie dopuszczają. Istne to kruki pastwiące się na trupie którego członki rozwłóczą. Czy słyszał np. kto coś podobnego w dziejach bibliotek, aby do 300 najciekawszych polskich broszur jak: *Dyalogi mięsopustne*, *Satyry*, *Pamflety polityczne z XVI i XVII wieku*, skradzionymi zostały pod okiem panów dyrektorów? Wprawdzie, zaczęto nihy poszukiwać w lat parę tego świętokradztwa rzeczy ojczyści, lecz tyłu tam ręce maczało, że powoli oskarżenie zwinięto i schowano *ad acta*. Taki obrót procesu wybora stał się pokrywką dla dzisiejszych opiekunów a wielkich przytem bibliofilów, że mogą bez obawy odpowiedzialności łowić ryby w tej mętnej wodzie, zwłaszcza, gdy katalogi na niedorzecznie szeroką skalę zaczęte, ani są zakończone, ani kiedykolwiek zakończonemi zostaną. Nietrudno więc w obecnym stanie tego zakładu napotykać księgi najradsze, w znaniej oprawie bibliotecznej, po księgozbiorach prywatnych, lub w rękach żydów antykwarzy. Tak z pomiędzy innych pan Gwałbert Pawlikowski teraznijszy dyrektor Zakładu, a posiadacz znacznego księgozbioru w Medyce, zbogacony najradszemi dziełami z Zakładu Ossolińskich, chęłpi się, iż posiada tak rzadkie dzieła, jakich nawet księgozbiór Ossolińskich nie ma. Zapewne ci panowie opierają się na powadze Czackiego, lecz niech raczą pomnieć, że Czacki wykradał książki mnichom opasłym i ludziom nieznającym ich wartości, a nigdy z bibliotek publicznych. Cóż dopiero, gdy do tych nadużyć dodamy, zamiany gorszych edycji na lepsze, nowych kopii za stare oryginalne rękopisy, frymarchenie dochodami zakładu, używanie lokalu na wygodę rodziny i dworu, gdy się do Lwowa zwali na kontrakt lub karnawał. Gdyby stary Ossoliński ożył, a przeszedł się po tych gmachach, gdzie młódz miała kształcić się w języku, historii i literaturze ojczyści, wziął jeden tom i drugi, znalazł powydzierane broszury lub defektowe dzieła, niezawodnie pękłoby mu z żalu serce Polaka.

Jak długa i szeroka nasza ziemia, był to na teraz jeden jeszcze skład pamiętek umysłowego życia, i ten ugodzony przez rząd a do reszty dobity przez niepatryotycznych opiekunów, lada dzień stanie na linii wielkich strat narodowych, i słusznie będzie można o nim powiedzieć co wyrzeczono o Barberinich, burzycielach Kolizeum: *Quod non fecerunt barbari, fecere Barberini!*...

— Jest między plazami pewien gatunek błotny, który raz tylko w życiu na powierzchnię błota wypływa, by pokrząwszy trochę po swojemu, wrócił na dno jego i nigdy się już niepokazał więcej. Coś podobnego jest i w rodzie ludzkim. *Nowa-Polska* mieści te stworzenia w oddziale swoich *Szanownych*. Niewarto o nich gadać, chyba raz tylko. To też, jeżeli wzmiance o *Szanownych* poniższym listem objętych, po raz drugi dajemy tu miejsce, czynimy to nie dla tego, żeby egzemplarze były radsze albo szczególniejsze od innych, lecz że niemożemy odmówić objaśnienia tego, co raz w piśmie naszym znalazło miejsce.

Do Redakcyi Pszonki.

Nowa-Polska na str. 600 umieściła list Szanownego Emila Tarłowskiego, z Versailles 2 sierpnia 1840 r. pisany, a tłumaczący się z zarzutu uczynionego mu w *Pszonce*, że kłamli-

wie skreślił w *Okólnikach Kom. Kor.* opinię kraju o emigracyi. Szanowny Emil Tarłowski popiera swoje twierdzenie świadectwem Sz. Leona Bilińskiego. Wiele już niedorzeczności napisano o usposobieniach Polski względem emigracyi, a większą ich część jako żadnej krytyki niegodną, wieczne pokryło milczenie. Niewiększej był wartości list Tarłowskiego zamieszczony w *Okólnikach Kom. Kor.* lecz że Tarłowski *widzi* się swoje chciał powaga świeżo z kraju przybywającego pokryć, a wyrażenie jego za ubliżające narodowi, krzywdzące godność narodu, i odejmujące mu prawa jego i jego samodzielność uważałem, czulem przeto potrzebę zrobić Tarłowskiego ważniejszym na przyszłość, do czego posłużyło mi wyznaczenie Bilińskiego razem z nim przybyłego z kraju. Wyznanie to, że nie było mi uczynione pod tajemnicą, udzieliłem Redakcyi *Pszonki*. Biliński zaprzecza żeby kiedy podobne wyznaczenie Redakcyi *Pszonki* uczynił, niesprawdzam, ale to pewna, że je uczynił mnie, a że je uczynił nietylko ustnie, ale i piśmennie, przytaczam na dowód wyrazy z własnoręcznego listu jego, dnia 8 sierpnia 1840 r. do mnie pisanego: «... Tarłowski prosił mnie bym go na listę Tow. Dem. wciągnął, zostawiając to jednak zupełnie mojemu zdaniu, o ile uznaję tego potrzebę; mówiłem to tobie za przyjazdem zdaje się że niedobrze zachowałeś słowa moje w pamięci.» — Nie idzie więc o zmianę rzeczy ale o wyrażenie. Myślą moją było okazać że Tarłowski inne miał przekonanie w kraju o emigracyi, i że tu nabyte za wywiezienia z kraju udaje. Jakoż powiedziano w *Pszonce*: że ten sam kraj o którym P. Emil takie kłamstwa popisał, najuroczyściej zalecał P. Emilowi, ażeby zaraz po przybyciu do Francyi do Tow. Dem. wstąpił. Powiedziano kraj, bo ostróżność każeła niewymieniać osoby. Czy osoba ta wprost P. Emilowi zalecała wejść do Tow. Dem. czy prosiła Bilińskiego by go do tego Tow. zaciągnął, mniejsza o to, dość że zalecała, więc rzecz tak zostaje zupełnie, jak w *Pszonce* przedstawiona była. Że równie prawdziwym jest twierdzenie, że Tarłowski inną miał opinię w kraju, i we Francyi nabytą za wywiezienia z kraju udawał, mam dowód w innym liście Bilińskiego 17 maja 1840 r. do mnie pisanym, «Zarzuć co do autora artykułu w *Okólnikach Kom. Kor.* (Opinię kraju o emigracyi) umieszczonego, pokrótce sprostować muszę. I tak, powiadasz że (Tarłowski) inną mając opinię w kraju o Tow. Dem. a inną okazując w *Emigracyi*, że otrzymawszy w kraju radę od ... do wstąpienia do Tow. a dziś je potępiając, okazuje zmienność i tłą wiare, odpowiadam, że wszyscy mieliśmy o Tow. Dem. inne pochlebniejsze w kraju wyobrażenie, i ja, i on, i ...» Niekłamalże Tarłowski, niesprzedawałże opinii we Francyi nabytej za opinię z kraju? kiedy Biliński, obrońca jego, najwyraźniej to w liście swoim potwierdza. Nakoniec Tarłowski w pierwszym swoim liście donosi Emigracyi i Polsce, równie jak ich nieprzyjaciółom «że nie był obcy robotom jakie w narodzie naszym odbywały się i odbywają.» *Pszonka* skarcił go za to publiczne a równie kłamliwe, jak nieostróżne i dziecięcej chępliwości dowodzące wyznaczenie, i postąpił jak należało. Teraz zaś tenże Tarłowski powiada: że do Tow. Dem. w kraju nienależał ani go popierał. To zapewne nie był obcy robotom arystokratycznym; niechżeby był odrazu do tego się przyznał, a nie byłby pewnie zaczepiony przez *Pszonkę*. Kłamać i potem brudem swego kłamstwa chcieć obrzucić innych, jestto coś więcej jak błądzić.

Co się tyczy komentarzów *Nowej-Polski*, te pomijam milczeniem, bo pismo to ani komu zaszkodzić, ani skrzywdzić nikogo już nie może. Pozdrowienie i braterstwo

TEOFIL WISNIEWSKI.

P. S. Listy oryginalne Bilińskiego, dla sprawdzenia jego wyrazów powyżej przytoczonych, złożone są w Czytelní polskiej przy *Marais St. Germain* n° 12 w Paryżu, i ciekawí mogą je tam przeczytać. Sz. Biliński za złe tego wziąć mi nie może, bo dobro sprawy publicznej i godność narodu nad prywatne przenoszą względy.

NADEŚLANE: «Ob. Krosnowski na żądanie wielu rodaków wyda wkrótce drugi dodatek do *Kalendarzyka emigracyjnego*, przytem chce wydać *Statystykę* imienną każdego (który się poda), rodzaj zatrudnienia i pracy jego, oraz jakie kursa i examina odbył, jakie wydał dzieła, i do jakiej redakcyi należy. Kto sobie z rodaków życzy, zechce adresować tak swoją reklamacyę co do sprostowania myłki, która mogła zająć w *kalendarzyku* i w dodatku, jako też listę do *Statystyki* i listę zmarłych od wydania dodatku pierwszego, do *Fontainebleau, rue de Nemours, 22.*»

Ob. Downarowicz Apolinary i Stachowski Hipolit zechcą się zgłosić *franco* do redakcyi *PSZONKI* we własnym interesie.